

Widma



ELIZA ORZESZKOWA

Widma

Nigdy jeszcze żadne drzwi pod słońcem pochłubić się nie mogły tak pięknym odzwiercieniem, jakim był ten, który od roku 1868 ery naszej, przez lat dziesięć przeszło, przyozdabiał wnijście do najwspanialszego hotelu miasta Onwilu, — hotelu, noszącego huczną nazwę Wszech-Krajów. Hotel to wspaniały, wnijście nie było jakie i nazwa szumna. Jednakże wielu z pomiędzy przybywających do hotelu podróżnych, zamiast przypatrywać się krytemu blachą, a wysłanemu asfalterm podjazdowi, marmurowym schodom i zdobitym je kobiercom i posągom, zatrzymywało wzrok na postaci i twarzy odzwiercianej, — wzrok, w którym przez chwilę objawiało się zdziwienie pewne, lub nawet zmieszanie. Rządca hotelu, pan Leonid Igorowicz (czytaj: Lejba syn Icka) Rozenblatt, wirtuozny młodzieniec, z rzęsicie ufryzowanym czarnym włosiem, z turkusowym pierścieniem na palcu i wiecznie towarzyszącym mu zapachem różanego listka, często bardzo z chlubą i rozkoszą słyszał zwrócone ku sobie wyrazy gości:

— Ależ szwajcara macie... no! zkąd-ęście go sobie zapisali? Płacicie mu chyba summy bajonkie...

Niekiedy goście dodawali:

— Nie dziw zresztą, że możecie sobie książąt udzielnych na szwajcarów najmować... tego ludzi obdzieracie...

Ostatnie przemówienia te, mniejszą niż pierwsze, rozkoszą napawały pana Leonida Igorowicza. Ażeby więc ująć tę wynagrodzić sobie, a przy tém okazać gościom, jak dalece wyższym się czuje nad wychwalanego przez nich szwajcara, z całej siły szczupłej piersi swój i z wyniosłością największą, na jaką tylko zdobyć się mogła drobna istotka jego, wołać zaczynał:

— Andrzej Władysławo... aj! jakie to imię! Otock! Nu! Otock! czy ty ogłuchał? Otock!

Wołania te przecież pozostawały wołaniami na puszczy dopóty, aż pan Leonid Igorowicz, zmuszony istotną pilnością sprawy albo żądzą pokazania obecnym, że, bądź co bądź, szwajcar słuchać go musi, zdecydował się wprowadzić w mowę swą małą poprawkę i wołać zaczynał:

— Panie Otock!

Wtedy przywoływany wychodził z oszklonego pokoiku, zwanego „łóżą szwajcara”, albo wracał z pod krytego podjazdu, gdzie z powozów wyjmował pakunki gości, albo jeszcze zbiegał z marmurowych schodów i, stając przed rządcą, wymawiał:

— Słucham pana!

Obecnym wydawało się wtedy, że to żart, i że wnet, wnet, pan Leonid Igorowicz ukloni się nisko przed Otockim mówiąc:

— Co wielmożny pan rozkaże? Może kupca na pszenicę nastroczyć?

Rzecz była w tém, że Otock wyglądał tak, jakby przez całe życie swe siał, zbierał i sprzedawał pszenicę. Szlachcic z dziadów pradziadów, szlachcic rolnik, z rycerską krwią w żyłach, patrzył mu z czoła i oczu, z postawy i ruchów ciała. Czoło to, wysokie, na pierwszy zaraz rzut oka przypominające podgolone czupryny, przerzynały dwie poprzeczne zmarszczki, blizny niby, nie z orężnego przecież boju wyniesione. Z dumnym smutkiem czoła tego zgadzał się dobrze wyraz jego oczu, smutnych także, lecz śmiałych, a niekiedy jak stał na słońcu, błyszczących. Usta za to miał on łagodne, a niewieście ich uśmiechy nawpół kryły się pod ogromnym, białym wąsem, który mu aż na pierś prawie opadał. Włosy jego daleko mniej były siwe, niż wąsy; przez cerę twarzy przeglądało życie,

skąpane naprzód w swobodnych powiewach szerokich pól, a potem w długich, wielkich cierpieniach.

Rosła i silna postać człowieka tego okrytą była obcisłym, do ziemi prawie długim, surdudem z granatowego sukna. Szeroka pierś jego błyszcząca galonami i posrebrzanymi guzikami hotelowej liberyi. Boże wszystkowiedzący! Ty jeden tylko wiedzieć możesz, co się z nim działo w chwili, gdy po raz pierwszy przywdziać miał granatowy surdut ów, z posrebrzanymi taśmami i guzikami! O miejsce odźwiernego w hotelu Wszech-Krajów starał się być usilnie i gorliwie, a dla otrzymania go, przez dziesięć dni z rzędu po dwie lub trzy godziny przesiadywał w przedpokoju hrabiego X., który skutecznie zaprotegować go mógł, lecz którego przedpokojowa służba nie oznaczała się zbytnią uprzejmością dla tych, względem których pan jój miał wielostronne obowiązki. Przed tymi za to, względem których pan jój żadnych wcale nie miał obowiązków, służba ta czołem niemal o ziemię biła; ci też do salonów pana hrabiego wchodzili i wychodzili dumni, wielcy, silni; a Otockie w kącie przedpokoju, na stolku lokajskim siedział, bladł bardzo niekiedy, jak stałą wyostrzoną błyskał szarą źrenicą — i czekał. Doczekał się nakoniec. Pan Hrabia przypomniał sobie, że przecież coś tam... dla tego tam... uczynić trzeba; udzielił mu audyencji, i na karcie wizytowej skreśliwszy słów kilka, posłał ją właścicielowi hotelu Wszech-Krajów, który nie był wprawdzie ani hrabią, ani księciem, ale nie był też żadnym tym tam... bo miał miliony, a ochrzcił się święconą wodą (spytajcie go sami: w jakim kościele?) wtedy właśnie, kiedy Otockiego los bierzmował wielkim policzkiem.

Właściciel hotelu Wszech-Krajów rozkazał mu stanąć przed oblicznością swoją, a gdy już stanął, rzekł:

— Pan żądasz zgodzić się u mnie na szwajcara... no, ja nie bardzo z tego kontent, bo w mojej służbie same porządne ludzie powinni być, a pan zrobiłeś głupstwo, wielkie głupstwo...

— Za pozwoleniem pana! — drżącym głosem zaczął Otockie, ale właściciel hotelu wyprostował się i, z dłonią na marmurowym stoliku złożoną, mowę mu przerwał:

— Kiedy ja gadam, to żadnego „za pozwoleniem” niema... Kiedy ja gadam, to wszyscy powinni milczeć! sza! i obydwojma uszami słuchać. Pan zrobiłeś głupstwo, pan byłeś waryat, od pana trzeba uciekać, jak od szalonego. No! ale ja jestem dobry człowiek; ja kiedyś byłem w Otoku i dawniejszy dwór pański widziałem; mnie pana trochę szkoda, że pan teraz bez chleba jesteś! I z hrabią Henryczkiem ja w wielkiej przyjaźni żyję, a on mnie za panem prosi. To już ja pana za szwajcara wezmę i tylko bardzo proszę, żebyś pan o wszystkich głupstwach zapomniał, a o tém tylko pamiętał, że moim służącym jesteś... i wszystko tak robić powinieneś, żeby mnie z tego największa korzyść była...

Otockie uklonił się. O! cóż to był za ukłon! Kiedy oddawał go, patrzącemu z boku mogłoby się zdawać, że wszystkie kości jego, wszystkie, aż do najdrobniejszej, buntują się przeciw zadawanemu im gwałtowi i krzyczą z bólu. Ale właściciel hotelu Wszech-Krajów w najmniejszym stopniu nie znał się na niemych krzykach udręczonych kości ludzkich i, gdy Otockie znajdował się już u progu wspaniałego salonu, przywołał go jeszcze przed obliczność swoją.

— Pan Leonid Igorowicz Rozenblatt rozmówi się z panem detalicznie, co do pana obowiązków, a pan będziesz jego słuchał; bo choć on jeszcze bardzo młody, ale on mój kuzyn, i ja każę, żeby wszyscy moi słudzy szanowali go tak, jak gdyby on był ja...

Pod przewodnictwem pana Leonida Igorowicza odbywszy parogodzinną podróż po wspaniałym hotelu, Otockie stanął na koniec u drzwi izdebki, która mieszkaniem jego stać się miała. Ręką, na której podówczas nie świecił jeszcze pierścień z turkusem, wskazując mu izdebkę, pan Leonid Igorowicz rzekł:

— Tam jest ubranie wasze... ja te ubranie kazałem tam położyć... niech pan ubierze się i będzie gotów przyjąć gości, co za parę godzin z pociągu przyjadą. Pan już wie wszystko, co i jak robić... ja pana już uczyłem... Niech pan tylko dobrze sobie zapamięta: u nas edukacja powinna pokazywać się we wszystkiém... My tu wszyscy edukowani i dlatego hotel tak idzie, że mój stryj jeszcze jedno skrzydło dobudować chce... A co dla niego znaczy! on taki bogaty! a dlaczego on taki bogaty? dla tego, że edukowany. W terażniejszym świecie... Jak panu imię?

— Andrzej.

— A imię waszego ojca?

— Władysław.

— W terazniejszym świecie, Andrzeju Władysławo... aj! jakie to trudne imię!...

— Niech mi pan lepiej mówi: Otock!

— Dobrze. Mnie to wszystko jedno... W terazniejszym świecie, mój panie Otock, wszystko stoi na edukacji; bez edukacji człowiek głupi i nie wie, w którą stronę się obrócić. Ja bardzo szczęśliwy jestem, że mam edukację, i bardzo żałuję tych, co jej nie mają... No, mnie wołają na górę, do stryja! już ja muszę iść, a wy Andrzeju Władysław... aj! jakie to imię! ubierajcie się w naszą liberyę, tylko geszwind! żeby jak goście przyjadą, być... fertig!...

Co pan Leonid Igorowicz rozumiał pod wyrazem edukacja, o tém Otock dowiedzieć się miał później, teraz zaś, szczęśliwy, że na krótką choćby chwilę samotnym pozostał, obejrzał się po swym kącie.

Kąt ów posiadał po pięć kroków rozległości wzdłuż i wszérz, jedną ścianę szklaną, trzy drewniane i jedno okno, wychodzące na kryty podjazd. Było to raczej złudzenie okna, gdyż przez dach podjazdu i podtrzymujące go kolumny światło się do niego dostać nie mogło. Że zaś za szklaną ścianą rozpościerała się sień, obszerna i ozdobna, lecz źle oświetlona, dla rozproszenia panującej w izdebce Szwajcara wiecznej szarej godziny, palił się w niej dniem i nocą różek gazu, na czarnym drucie nad biurkiem u okna stojącym zawieszony. Po co w izdebce szwajcara znajdowało się to stare biurko, niezmiernie skromnymi przyrządami do pisania zaopatrzone? wiedział o tém pan Leonid Igorowicz, który je tam umieścić kazał. Zresztą, było tam stołków parę, u ściany szklanej stał piecyk żelazny, a w kątku najciemniejszym, na żelaznym także łóżku, leżał granatowy surdut z błyszczącymi guzami i także czapka, oszyta srebrnym galonem.

Otock podniósł nieco surdut i nagle wypuścił go z rąk, bo dokoła niego powietrze napełniło się szumem, nie tym jednak, który składał się z turkotu i głosów miejskich, lecz toczącym się wysoko nad głowami ludzkiemi, szumem starych drzew, pośród którego, w oddali, w dalekiej dali, dawał się słyszeć czasem klekot bociana, a czasem śpiew skowronka.

Otock nie zdziwił się bynajmniej tém złudzeniem zmysłów, doświadczał go bowiem w każdej trudnej do przeżycia chwili oddawna, od czasu, gdy opuścił rodzinny swój Otok, aby udać się w podróż daleką i długą. Z dalekiej i długiej podróży, z której wrócił przed kilku miesiącami zaledwie, przywiózł on dwa nabytki: mleczną białość ogromnych swych wąsów i lekką niemoc w nodze, co, nie nadwężając energii jego ruchów, rzucała na nie cień wykwintnej niedbałości, którą z zadowoleniem zauważył właściciel hotelu Wszech-Krajów, a pan Leonid Igorowicz naśladować postanowił...

Chwila była podobną téj, która następuje po przejściu wielkiej burzy. Gromy uderzać przestały, chmury przeredziły się i odsłoniły błękit i słońce; lecz w powietrzu, którego zmacone warstwy nie ułożyły się jeszcze w ład należyty, rojami latają liście, od drzew swych oderwane, doskonale obrazy rozsypki, sieroctwa i obłądu. Kędy przedtém rosły wspaniałe drzewa, sterczą teraz nagie, zwęglone pnie; góry i wzgórza zamieniły się w głębokie rozdoly, a doliny wydeły się, urosły i szumiącą pianą oblewają upadłe wielkości. Biedne liście latają we wszystkie strony, szukają, nie znajdują, dziwią się, nie rozumieją nic i, spotykając się, szepczą sobie po cichu, że świat się kończy. Jest to jednak nieprawda; świat wielce oddalonym jest końca swego, a tylko czas i wypadki zorały grunt jego i rzuciły weń zasiew nieznanych przedtém zjawisk.

Otock był jednym z liści takich. Miał kiedyś wioskę cichą i piękną, z szumiącymi drzewy, klekocącym bocianem i skowronkami, zrywającymi się znad zielonych runi; nie była już ona własnością jego. Posiadał znajomych, przyjaciół i krewnych; — co się teraz z nimi działo? Bujali, jak on, w zmaconém powietrzu, pośród obcych i niepojętych im obrazów, albo, przypadli do ziemi, do samej ziemi i przyłgnęli do niej mocno, cicho, tak jakby pragnęli, aby świat o nich zapomniał, aby tylko końca swego w pokoju i bezpieczeństwie doczekać mogli. Nadewszystko przecież, nadewszystko Otock pamiętał o tém, że był kiedyś ojcem, miał jedyne go syna, który w czasie nieobecności jego z szybkością nadzwyczajną dokonał z kolei wielu rzeczy: dorósł, w charakterze najniższego kancelisty pracować zaczął w jakimś rządowym biurze, ożenił się, wpadł w nędzę, dostał suchot i — umarł. Żona jego, a Otockiego synowa, poszła wkrótce w ślady męża. Jeden ze strumieni przez burzę wywołanych, ten mianowicie, który płynął sieroctwem przedwczesném

i ubóstwem niespodziewaném, porwał na fale swe dwa te liście bezdomne a słabe — i unióśł je w nieznanne krainy.

Otocki rozejrzawszy się dokoła i dowiedziawszy się o wszystkim, pomyślał, że najrozsądniejszą rzeczą, jaką uczynić mógł, było dobrowolne udanie się w tęż drogę, w którą udał się jedyń syn jego, a z której — nie wraca nikt. Wprawdzie trudno mu było zdobyć się na krok ten, gdyż posiadał on wiarę religijną, samobójstwa wzbraniającą. To jednak, czego pragnął, co uważał za wypadek najpomyślniejszy ze wszystkich, jakie go jeszcze na ziemi téj spotkać mogły, przyszło-by może samo przez się, w skutek nadzwyczajnego zniechęcenia do wszech rzeczy ziemskich, które go ogarnęło i odebrało mu tak siłę, jak ochotę bronić się od głodu. Co prawda, nie miał on nawet przebłysku pojęcia o tém, w jaki sposób mógłby i potrafił pracować na kawałek chleba. Otwarcie zeznawał przed sobą, że oprócz siania, zbierania i sprzedawania żyta i pszenicy, to jest tego, co robił przez całe życie, nie umiał robić nic. Jednak ani mu przyszło na myśl zapytać siebie: co z tego będzie? Miał jeszcze o czém przeżyć tydzień, dwa, a potem... o! strumieniu, który na falach swych uniośł w krainy nieznanne wszystkie bogactwa i ukochania człowieka tego, z czołem zoraném i wąsem, jak śnieg białym, przybywaj!...

Z czołem zoraném i białym wąsem, melancholijnie na pierś opadłym, z twarzą znieruchomiałą i dłońmi, bezwładnie na kolana opuszczonemi, Otocki siedział w najętéj izdebce, zimnéj, mrocznéj i nieustannie, z wyrazistością nigdy przedtém nie bywałą, słyszał dokoła siebie szum starych lip, klonów i topoli. Lipy były rozłożyste i gwarzyły najgłośniej; klony zaś osypane drobnym, żółtym kwieciem kłaniały się zdala topolom tak polyskującym, jakby je kto był w roztopioném srebrze zanurzył. Jabłonie, grusze, śliwy, rosnące pośród ogrodowych kwadratów, prawyły o czémś ciszej i skromniej, a szepty ich, niesione wiatrem, łączyły się w powietrzu ze smutnym szmerem, stojącej po polach, samotnéj i dzikiéj braci. Wśród szumów tych, które gamą spadów i tonów przeróżnaitych toczyły się w powietrzu, kędyś nad strzechą jakąś zapewne, klekotać zaczął bocian i klekotał wciąż, coraz zawzięćiej i donioślej, a gdy milkł na chwilę, z za drzew i strzech, z nad runi zielonéj, z błękitnego powietrza, dolatywało cichutkie, srebrne dzwonicie skowronka... Otocki wsłuchiwał się w otaczające go szумы i odgłosy, i myślał: gdyby to umrzeć!...

Wtém otworzyły się drzwi, o zamykaniu których ani pomyślał; do izdebki wszedł nieznaný mu człowiek i, wymawiając znane niegdyś nazwisko, oddał mu list. Otocki list ten przeczytał i — odżył. Jakby w czarodziejskich, siłodawczych wodach skąpany, poczał on od dnia tego ruszać się po świecie, starać się o pracę jakąś, jakąkolwiek, byleby mogła mu udzielić możności życia. Starał się, wypytywał, prosił, kark do ukłonów zginał, tłumil wybuchy głosu, powściągał błyski źrenic, wszystko znosił, na wszystko przystawał, byleby dopiąć celu. Dopiął go nakoniec, zdobył zajęcie i zarobek i — wypuściwszy z rąk surdut liberyjny, runął na stołek, kryjąc w dłoniach twarz, płonąją szkarlatnym rumieńcem.

Nie chcieć przyzdziać się w liberyą hotelu Wszech-Krajów był to zapewne przesąd, — przesąd marny i bezpodstawowy, sprzeczny zupełnie z powszechnie znanym axyomatem, że nie suknia zdołi człowieka, ale człowiek suknię. Suknia! cóż? prosta to kwestya barwy i kroju. Rządząc się prawami czystego rozumu, Otocki powinien był ze stoicką obojętnością włożyć na siebie odzież, która z wszelką inną odzieżą różniła się tylko krojem i barwą. Na nieszczęście, o doli lub niedoli człowieka nie sam tylko rozum stanowi, lecz wpływają téż na nie uczucia, przywyknienia i nawet przesady. Otocki przesądnym był, to pewna; nie unicestwiało to przecież faktu tego, że liberyi hotelu Wszech-Krajów ze wszystkich sił i wszystkiemi władzami istoty swéj włożyć na siebie nie chciał, a niechcenie to sprawiało, iż cierpiał bardzo. Cierpiał tak bardzo, że tuż, tuż zerwać się już miał ze stołka, udać się do pana Leonida Igorowicza i oświadczyć, że zrzeka się miejsca, o które starał się być jednak tak długo i tak gorliwie; gdy... drżąc dłoń jego, przesuając się po piersi wzdętéj czemś nakształt łkania, dotknęła szeleszczącego przedmiotu jakiegoś, znajdującego się w kieszeni wytartego surduta. Szybko, gwałtownie niemal, wyjął on z kieszeni szeleszczący ten przedmiot. Był to list, ten sam, który oddano mu wtedy, gdy, w zimnéj i mrocznéj izdebce siedząc, wsłuchiwał się w czarodziejski śpiew swéj przeszłości i myślał o udaniu się w bezpowrotną drogę. I teraz także otworzył list ten i od początku do końca przeczytał, co następuje:

„Szanowny panie Andrzeju!

„Nie jest zapewne panu niewiadomém, że syn jego, umierając, pozostawił dwuletnią córeczkę, którą w rok potém Pan Bóg pozbawił téż matki. Przez pamięć na dalekie pokrewieństwo, które łączy mię z kochanym panem Andrzejem, i przez litość nad biedną sierotą, wzięłam dziecię do domu mego, gdzie téż dotąd przebywa, hodując się wspólnie z dziećmi memi. Nie jestem jednak wcale bogatą, mam troje dzieci własnych, a ostatnie czasy zrujnowały mię majątkowo i zarazem pozbawiły opieki męzkiej. Dowiedziawszy się więc o powrocie szanownego pana Andrzeja z podróży, postanowiłam zapytać: czy nie zechciałby pan wziąć wnuczki swój do siebie? ja bowiem z trudnością mogłabym ją nadal utrzymywać; co zaś do wychowania, to już za nic nie ręczę i nic nie przyrzekam. Jeżeli pan przychylił się do prośby mojej, postaram się, aby ktoś, godny zaufania, odwiózł dziecko do Onwilu. Lusia ma teraz lat sześć i jest nadzwyczaj podobna do ojcia¹ swego, któregośmy wszyscy tu znali i żalowali bardzo. Biedak, porządnego wychowania, w nieobecności pana, nie otrzymawszy, pracował, jak mógł i umiał, ale żony i dziecka przyzwoicie utrzymać nie mogąc, zapracował się i zagryzł w bardzo młodym wieku. Synowa pańska była dobrą i ładną kobietą, ale słabowitą téż, delikatną i — do niczego. Lusia jest prawdziwie dzieckiem nieszczęścia i tylko w szanownym panu można pokładać nadzieję, że los jój uczynisz lepszym, niż był ten, który zgłębił biednych jój rodziców”.

Nadzieję! w nim tylko mała wnuczka jego pokładać mogła nadzieję uniknięcia złej doli! w niej tylko spoczywała nadzieja jego — posiadania jeszcze w życiu tém jakiejś nadziei!

Zerwał się ze stolka i pochwycił w obie ręce surdut liberyjny. Ubierał się prędko, prędko, zapinał u piersi srebrne guziki, prostował i wykladał u szyi kołnierz, oszyty galonem; a choć na czoło jego, bardzo blade, wystąpiło kilka kropel potu, choć czuł, że skóra jego przy zetknięciu się z granatowém sukniem drga mu i boli od stóp do głowy, — na ustach jego, pod wąsem białym, przewijał się uśmiech, a szare źrenice błyszczwały jak stal.

W téj chwili zastukano do szklanych drzwi izdebki i głos kobiecy zawołał:

— Panie Andrzeju! panie Andrzeju! Lusię przywieźli! przyprowadziłam ją panu!

Wtedy, rosły i barczysty człowiek ten, jak w futerał zamknięty w obcisłym, do ziemi prawie długim, surducie, z młodzieńczą żywością rzucił się ku drzwiom i, porwawszy w ramiona szczupłą, ubogo ubraną, dziecię, wniósł je do izdebki. Tu, bladą twarz dziewczynki wysuwając pod światło gazowego różka, chciwy wzrok zatapiał w nią przez chwilę i śmiał się głośno, serdecznie, z całej piersi. Potém zaczął całować dziewczynkę w usta, oczy, włosy i mówić przytém nie wiedząc co, słowa jakieś bez sensu, ni związku.

— Po Romku moim! — szeptał, — po biednym moim!... biorę... biorę... zobaczysz, jakim będę dla dziecka twego! Żebym ją znał, tobym wiedział, czy to małeństwo podobne do matki!... Oczy Romka i moje, bo my z sobą byliśmy podobni!... Dziadunio! oho! dziadunio! dam ja tobie małą, za to, że mię starym dziadem robisz!... Co? możeś się zlekła?... oj ty robaczku! promyku łaski Bożej, spadły na ciemną drogę moję!

Tu, cisnąc małą do piersi, z wielkim wybuchem głosu, zawołał:

— Jedyna moja!

Takiem było zainstalowanie się Otockiego w hotelu Wszech-Krajów. Małą Lusię przecież gdzieindziej ulokował, nie podobna bowiem było, aby dziewczynka mieszkać mogła w hotelu, w oszklonej i wiecznie mrocznej izdebce dziadka Szwajcara.

Kobieta, która przyprowadziła Lusię do dziadka i w krótkiej rozmowie umówiła się z nim, że w zamian małej oznaczonej opłaty utrzymywać ją i hodować w domu swoim będzie, była panią Anielą Marcellową Ryżyńską, żoną kancellisty, pracującego w jednym z biur rządowych, a za pracę swą otrzymującego w dwudziestym dniu każdego miesiąca rubli srebrem dwadzieścia.

Średniego wzrostu i silnej budowy ciała, nieodznaczającej się zbytnią niezgrabnością, ani téż żadnym szczególnym wdziękiem, w skromnej czarnej sukni, przez oszczędność zapewne przywążkiej i przykrótkiej, w futerku z wytartém nieco pokryciem i zrudziałym kołnierzem, w kapeluszu czarnym, oprócz czarnej téż woalki nie posiadającym cienia

¹ojca. [przypis redakcyjny]

ozdób żadnych, pani Aniela przebiegała często ulice ludnego miasta, przez nikogo nie spostrzegana, bo najmniejszą cechą wyłączności jakiegokolwiek uwagi niczyjéj na siebie nie zwracająca. Aby zwrócić na siebie uwagę ludzką, musiałaby ona chyba gwałtownie komu w drogę wleźć, z okna trzeciego piętra na ulicę spaść, albo być przejechaną. Inaczej, nikt wyróżnić nie mógł skromnéj téj, niepięknéj, ubogéj, a zawsze czegoś śpieszącéj się, śmiertelniczki, z pomiędzy tłumu śmiertelników, zupełnie podobnymi cechami obdarzonych. Jednak, kto-by chciał i umiał spostrzegać, ten w powierzchowności jéj spostrzedz mógł cechy pewne, jéj tylko właściwe, i nawet chwili, zastanowienia godne. Twarz jéj była okrągła, pełna i silnie rumiana, co czyniło ją młodszą, niż była istotnie, miała bowiem lat trzydzieści kilka, a dwudziestoletni koloryt cery. Lecz, na tle właśnie zdrowych i silnych rumieńców tych, w szczególny sposób uderzały wzrok patrzącego trzy głębokie bruzdy, poprzecznie przerywające czoło i rój drobnych zmarszczek, które w różnych kierunkach okalały oczy. Sprzeczność to była, która na twarz tę kładła dwa różne piętna: zdrowia i życia z jednéj strony, z drugiéj — cierpienia. Cierpienie zaś znajdowało się w téj odmianie swojej, która nosi nazwę — troski. Nie był to żaden ból serdeczny, ani żadna tęsknota, ani żaden subtelny jad goryczy lub zwątpienia; była to troska powszednia, pozioma, lecz dawna snadź i nieustanna. Troska ta téż sprawiała, że oczy pani Anieli, błękitne jak niebo i, zda się, tylko stworzone, aby wznosić się ku niebieskim wysokościm, dziwnie były ruchliwe i niespokojne. Jeżeli prawdą jest, że dusze ludzkie przemawiają przez oczy, to dusza pani Anieli wołała ciągle: „o! jakże mi pilno! jakże wiele mam do zrobienia! co ja pocznę! jak ja sobie poradzę!” A gdy takie wykrzyki wydobywały się z duszy jéj przez błękitne, niespokojne oczy, usta jej, niezbyt kształtne, uśmiechały się do ludzi, z którymi rozmawiała, uśmiechem zbyt szerokim, lecz w którym ukazywały się dwa rzędy białych jak perły zębów. Czasem, gdy uśmiechała się w ten sposób, nie wiedzieć dla czego, w téj-że chwili do oczu jej nabiegały łzy. Miałażby rozstrojone nerwy lub może taki na dnie serca gruby pokład smutku, że zeń co chwila, bez jéj o tém wiedzy, podnosiła się wilgotna para i na mgnienie oka okrywała źrenice jéj szklistą obsłoną? Niewiadomo. I o tém również wspomnieć warto, że ręce pani Anieli były czerwieńsze jeszcze od jéj twarzy, zgrubiałe, spracowane, wyraźnie zdradzające bardzo rozległe a ciągle stosunki z rądlami, balią, miotłą, igłą. Rąk tych nie okrywał żaden cień rękawiczek nigdy, ani w mrozy, ani w niedziele.

Tak wyglądała kobiéta, która, małą Lusię prowadząc za rękę, wraz z nią przebyła parę ludnych ulic, weszła w głęboką, sklepioną bramę, bardzo staréj i bardzo wysokiéj, na żółty kolor pomalowanéj kamienicy, i wspinać się zaczęła na wążkie, źle oświetlone, brudne wschody. Długa to była wędrówka. Na pierwsze i na drugie piętro wbiegły obie szybko i z łatwąścią przebywając trzecie, kobiéta zwolniła kroku; u początku czwartego dziecko stanęło zdyszane i zarumienione od zmęczenia.

— Co? już zmęczyłaś się! — zaśmiała się pani Aniela, — nie bardzo widać silną jesteś... mój Julek, jak był w twoim wieku, to dwieście razy na dzień wlatywał na te same wschody i zlatywał z nich. Chcesz odpocząć? E! niéma czasu odpoczywać! moi tam gdzieś bez obiadu siedzą...

Schyliła się, pochwyciła dziewczynkę w ramiona, i z ciężarem tym przebywszy jeszcze ze trzydzieści wschodów, stanęła przede drzwiami, których liczne szczeliny zapełnione były pakułą i obite skrawkami sukna. Zasapana, czerwieńsza jeszcze, niż zwykle, postawiła dziecko na ziemi i weszła do mieszkania, wołając na idącą za nią dziewczynkę:

— Chodź! chodź! chodź! chodź!

Wolanie to było pieszczotliwe i wesołe.

Przez malutką kuchenkę, w której nie było w téj chwili ognia, weszły do pokoiku ze ścianami pomalowanemi na brzydki żółty kolor, z trochę starych i bardzo tanich mebli i jedném oknem, wychodzącém na ulicę, a raczéj wznoszącém się nad nią o całą wysokość czterech pięter. Tu pani Aniela zdjęła kapelusz, z pod którego ukazały się bujne włosy płowo-rudego koloru, gładko nad czołem przyczesane, a z tyłu głowy w jeden wielki warkocz zwinięte, i schyliwszy się ku Lusi, rozebrała ją z szaréj i niedość ciepłéj zimowéj odzieży. Czyniąc to, rzuciła pytanie:

— Dawno tu już jesteś, Marcelli?

Siedzący u okna mężczyzna odpowiedział:

— Jak zwykle... wyszedłem z biura punkt o trzeciéj.

Schyłona wciąż nad dziewczynką, starannie zawiązując na szyi jej ciepłą chusteczkę, zapytała jeszcze:

— Czy bardzo jesteś głodny?

— Ej nie, — odpowiedział, — tylko myślę, że nie będę już miał czasu zasnąć trochę przed pójściem do biura.

— Oho! — zawołała, prostując się — jeszcze czego! żebyś i tego nawet odpoczynku nie miał! Spóźniłam się dziś z obiadem, to prawda... trzebaż było temu biedakowi wnuczkę pokazać, ale nic to! zaraz nakryję i podam! szach mach! zjesz i zaśniesz jeszcze sobie! Julek! Julek!

Na ten ostatni wykrzyk, z przyległej izdebki wyszedł chłopak w gimnazjalnym mundurku, niewiele więcej nad lat dziesięć mieć mogący, z podartą książką w ręku.

— Patrzaj! — rzekła doń pani Aniela — oto panna Ludwika Otocka, wnuczka pana Andrzeja, który tu u nas bywa. Nazywa się Lusia. Dziś zrana, kiedyś był w szkole, przyjechała ze wsi. Mieszkać będzie u nas. Proszę być dla niej grzecznym, zabawić ją i pomódz, aby rozgościła się w domu.

Stanowczym i urywanym tonem dowódcy rozkazy te wydawszy, zakrzętnęła się około nakrywania do obiadu małego stołu, przed rozłożystą, starą jak świat, kanapą stojącego. Robiła wszystko z nadzwyczajnym pośpiechem i zajęciem, możnaby powiedzieć — z zapalem. Obiad, składający się z rosółu i kawałka gotowanego mięsa, stał gotowy w kuchennym piecyku. Przyniosła go w wyszczerbionej wazie, którą na stole postawiwszy, ukroiła cztery porcje razowego chleba, rozdzieliła mięso na cztery części i zawołała:

— Proszę na obiad!

Mężczyzna, siedzący dotąd pod oknem, wstał i powoli zbliżył się do stołu. Był to człowiek, wyglądający na lat czterdzieści, średniego wzrostu, szczupły, z długą, bladą twarzą, otoczoną krótko przystrzyżonymi włosami i pozbawioną wszelkiego zarostu. Twarz ta, połyskująca od niezmiernie starannego wygolienia, uderzała szczególną sztywnością rysów i wyrazu. Piwne, głęboko osadzone, oczy jego, przesuwaly się z przedmiotu na przedmiot leniwie i obojętnie; wąskie i blade wargi obu kątami zwisały w dół, co nadawało im wyraz niemiej goryczy i wytwarzało na policzkach dwie głębokie i suche fałdy.

Z tą martwością i suchością powierzchowności całej w szczególny sposób sprzeczała się chciwość, z jaką pan Marcelli zabrał się do jedzenia. Jadł prędko i łakomie, a jednak niewiele, bo wkrótce odsunął od siebie talerz, na którym znajdowało się jeszcze sporo zupy i mięsa. Znać w nim było człowieka zgłodzonego, lecz któremu niezdrowie i zmęczenie pozwalało lada okruszyną głód zaspokoić. Pani Aniela podniosła twarz z nad talerza i niespokojnie na męża spojrzała.

— Dla czego przestałeś jeść, Marcelli? — zapytała. — Mój Boże! jakże można jeść tak mało, pracując tak wiele! Czy ci nie smakuje? czy może... nieprzyjemność jaką dziś miałeś?...

Ryżyński uczynił powolny ruch ręką.

— Co tam! — rzekł. — Ile chcę, tyle jem. Więc nie chcę.

Mówił suchym i przytłumionym głosem. Pani Aniela patrzyła nań coraz niespokojniej.

— Cóż? — zaczęła — pewnie znowu *ten* powiedział ci co przykrego? Może ci więcej jeszcze, niż zawsze, roboty nadawali? Miałeś nieprzyjemność jakąś... już ja to widzę...

Energiczniej nieco, niż przedtém, Ryżyński zaprzeczył:

— Ej nie! nic dziś nie stało się nowego. Po co masz martwić się daremnie! jak wczoraj, tak dziś, tak jutro... Co było, to jest, a co jest, to będzie!... i koniec!...

— No, no! — uspokojona już nieco odrzekła pani Aniela — żeby tylko gorzej nie było... żeby nie gorzej...

— Otóż to! — dokończył Ryżyński, a gdy wymawiał krótki ten wyraz, kąty ust jego drgnęły, a w głębi leniwych i ostyglych źrenic zamigotało smutne i trwożne światelko.

Na tych kilku zamienionych słowach ograniczyła się cała przyobiednia rozmowa. Lusie i Julek nie mówili nic, tylko od chwili do chwili ciekawie spoglądali na siebie.

Ze zwykłą szybkością i energią ruchów, pani Aniela wstała od stołu i, podjąwszy wysoko, a białym fartuchem starannie osłoniwszy czarną swą suknię, gorliwie zajęła się w kuchence myciem i wycieraniem talerzy, garnków i łądli; pan Marcelli zaś powoli wsunął się do przyległego pokoiku, gdzie zdjął surdut z poślaczanymi guzikami, włożył

natomiast szlafrok, spuścił u okna płócienną roletę i położył się na jednym z dwu łóżek, zapelniających sobą cały prawie pokój. Po chwili usypiał już głęboko, a delikatny, zmięty profil twarzy jego, żółtawą bladocią odbijający od białych poduszek, wydawał się we śnie bardziej jeszcze zmęczonym i martwym. Pani Aniela szybko i na palcach przebiegła bawialną izdebkę, cichutko przytknęła drzwi sypialnego pokoju i, zwracając się ku dzieciom z palcem do ust przyłożonym, szepnęła:

— Cicho dzieci! cicho! nie obudźcie go czasem.

Potem przez czas jakiś jeszcze brząkała w kuchence talerzami i garnkami; przysiadła na ziemi, czyściła krédą samowar; narzuciwszy chustkę na głowę i plecy, wybiegła z mieszkania i wróciła wkrótce z dzbankiem pełnym wody w jednej ręce, a koszyczkiem z bułkami w drugiej; samowar wyczyściwszy, dzbanek z wodą i bułki umieściła na stojącym u okna tapczanie, odetchnęła głęboko, przytknęła powieki i w mgnieniu oka, z głową wspartą o twarde skraj okna, usnęła. Był to widocznie sen na prędcę, ogarniający ją nieprzewyciężenie, sen, któremu uległa bez namysłu i pomimo woli. Za poduszkę służył ję, zwinięty z tyłu głowy, złocisto-rudy warkocz.

W małym mieszkanku, w tém gnieździe ubogiem i tak wysoko wzniesionem, iż zdawało się ono być bliższem chmurnego nieba, niż błotnistej ziemi, zapanowała wtedy cisza głęboka. Ciszę tę mącił tylko monotony, głośny oddech dwojga uspijonych ludzi, chrapiwy tentent wiszącego na ścianie zegara z bukietem róż na starém obliczu, albo kędyś w dole, w głębokim dole, toczący się, do grzmotu głuchego podobny, turkot, lub przeciągłym jękiem strzelający w górę oderwany dźwięk katarynki. W ciszy téj, na dwóch wysokich krzesłach, spłowiłym perkalem obitych, siedzieli u okna Julek i Lusja, milcząc i z kolei patrząc to na siebie, to na okno, powlekające się zwolna szarą zasłoną zmroku. Chłopiec był ładny, smukły, z bladawą, ściągłą twarzą, okrytą wyrazem znudzenia i niezadowolenia, właściwym mu snadź, a zwiększonym przez to, że gęste ciemne włosy jego były w szczególny sposób rozczochrane; nieład zaś ten, w uczesaniu jego zachodzący, zwiększał on jeszcze co chwila niecierpliwemi i znudzenie wyrażającemi gestami. Dziewczynka, przeciwnie, zachowywała się bardzo spokojnie. Miała ona włosy jasne jak len, a oczy duże, ciemne, z czarną brwią i rzęsą. W oczach i w zarysie bladawych ust wnuczki szwajcara spoczywała, dziwna w ję wieku zaduma. Nie była strwożoną znalezieniem się wśród miejsc i osób obcych; zdawało się tylko, że myślała nad czémś chmurnie a spokojnie.

Chłopiec pierwszy przerwał milczenie.

— Cóż? — zapytał — ze wsi przyjechałaś? cóż tam na wsi? Jak to wygląda?

— Alboż sam nie widziałeś? — odpowiedziała z cicha, lecz śmiało.

— Żebym widział, tobym nie pytał. Co ja widział? Żółte ściany i koniec. Czy i na wsi są takie żółte ściany?

Tu rzucił ręką, wskazując brzydkie, monotonne, żółte, jak ośrodek jaja, ściany rodzicielskiej bawialni.

Dziewczynka spojrzała dokoła i odrzekła:

— Nie! Takich ścian tam nie ma.

— A cóż jest?

Z powagą i niezmaconym spokojem wyliczać zaczęła:

— Drzewa, takie zielone... ptaki, kwiaty, żyto, kury, indyki takie wielkie, koty... wszystko!

— Patrz! patrz! — rzekł Julek — to tam dużo ładnych i ciekawych jest rzeczy! Szczęśliwa jesteś, żeś to wszystko widziała.

Dziewczynka wymówiła krótkim i dziwnie suchym tonem:

— Nie!

— Co? nie? — zapytał Julek.

— Ja nie jestem szczęśliwą! — odpowiedziała.

— A dla czegoż to? Przecież do *klas* nie chodzisz i na takie żółte ściany od urodzenia swego, tak jak ja, nie patrzyłaś! To i czemu nie jesteś szczęśliwą?

— Ot, zwyczajnie, — rzekła — sierota i koniec.

— No! matki i ojca nie masz, już słyszałem o tém. Z dziatkiem dziś się poznałaś i zdaje się, że nie wielką będziesz miała z niego pociechę. Stary, będzie na ciebie pewno gderał. Ale zawsze... czemuś nie była szczęśliwą? Czy źle obchodzili się z tobą?

— Nie! — odpowiedziała ze zwykłym spokojem.

— No, to cóż?

— Nic... tak jakoś... — szepnęła.

— Cóż to znaczy: tak jakoś?

Wzruszyła zwolna ramionami.

— Czy ja wiem? Wszyscy poumierali, wszyscy cudzy, nikt nie pokochał nigdy, nikt nie pożałował i... koniec.

— E! — rzekł Julek — kaprysisz! Co ci tam złego? Ot mnie bieda i bieda! odkąd urodziłem się, zawsze to samo i to samo. Ojciec biędę klepie, matka biędę klepie i ja klepać muszę.

— A czemuż to tak? — zapytała Lusia.

— Ot czemu? Wiadomo. Ojciec jest urzędnikiem kancelistą, dwadzieścia rubli na miesiąc bierze, a wiesz ty, że to wielka bieda. Ale toby jeszcze nic, żeby jaka nadzieja była, że człowiekowi lepiej kiedy będzie. Gdzie tam! Czy ty wiesz, że gdyby ojciec gwiazdy z nieba zdejmował, gdyby zapracował się na śmierć, toby nic z tego nie przybyło. Co było, to jest, co jest, to będzie...

Lusia przerwała:

— Twój tatko tak przy obiedzie mówił...

— A mówił. On to zawsze mówi i ja nauczyłem się mówić. Żółte ściany były, żółte ściany są i żółte ściany będą.

Przy tych słowach, obie ręce podniósł ku głowie i do niepodobieństwa zczochrał swe włosy, przyczem pełne nienawiści spojrzenia rzucał na ściany bawialnej izdebki, do których wyraźnie uczuwał głęboką i niemilknącą nigdy antypatyę.

— A dla czegoż to tak? — zapytała znowu Lusia.

— Albo ja wiem? — odpowiedział — albo mnie kiedy ktokolwiek co wytłómaczy? rozpowie?... gdzie tam! Ojca nigdy w domu nie ma, a jak przyjdzie, to taki zmęczony, że tylko zje i spać idzie; mama zawsze zajęta i, jak się o co spytam, to mówi, że czasu nie ma, albo że sama nie wie... bo pewno nie wie. Ja chciałbym o wielu rzeczach wiedzieć: co to? jak to? po co? zkąd? ale dowiedzieć się ani sposobu. Nuda tylko, bieda i po wszystkim.

— I koniec! — zawtórowała Lusia.

W czasie, gdy Julek wynurzał przed nią dolegliwości swe, w sposób, zdradzający wczesną dojrzałość, a może i wczesne nadwidnięcie dziecięcej jego istoty, ona myślała zapewne o własnych przebytych biedach i, jak mała papużka, zmieniająca tylko ton podanego sobie wyrazu, wymówiła:

— I koniec!

Jakby dla rozweselenia, biadającej téj u szarego okna, pary małych ludzi, nad zdobny w bukiet z róż cyferblat starego zegara wyskoczył szary ptak sporéj wielkości i, z łoskotem uderzając blaszanymi skrzydły, w ciszę i zmrok, napełniające pokoiki, rzucił pięć razy powtórzony okrzyk:

— Kuku! kuku!

Stary zegar posiadał nietylko wesoły bukiet róż, ale weselszą odeń kukułkę, która co godzina przyzywała pomiędzy żółte ściany, te śmiertelne nieprzyjaciółki Julka, świetlaną wiosnę, tę dotychczasową serdeczną przyjaciółkę Lusi. To téż po raz pierwszy, odkąd tu weszła, dziewczynka uczyniła ruch żywy i prawdziwie dziecięcy. Zerwała się z krzesła, klasnęła w dłonie i z głośnym okrzykiem:

— Kukawka! kukawka!

Rzuciła się ku zegarowi, wyciągając doń obie ręce. Niestety! czarowne zjawisko, po wygłoszeniu piątej z południa godziny, zapadło szybko w niewidzialne głębie zegara; Lusie w mgnieniu oka téż ochłonęła z doświadczonego wrażenia i, poważna znowu, z rękoma wsuniętymi w rękawy sukni, usiadła na uprzedniém miéjscu.

W kuchence, zbudzona przez kukułkę i wykrzyk Lusi, pani Aniela zerwała się z tapczana, przelekniona tém, że spała tak długo i, zgarniając obiema dłońmi rozrzucony we śnie warkocz, a przecierając senne jeszcze oczy, wołała:

— Julku! czy ojciec śpi jeszcze? Julku! samowar nastaw! prędjéj tylko! Mój Boże, jakżem ja zasnęła! Ojciec już nie będzie miał czasu przed wyjściem do biura porządnie wypić herbaty!

Żywa bardzo, choć ciężka nieco, z wyrazem niepokoju i zakłopotania na czerwieńszej, niż kiedy, twarzy, przebiegła bawialnią, wszedłszy do sypialnego pokoiku, na palcach, z ostrożnością niezmierną, zbliżyła się do łóżka, na którym snem kamiennym usypiał pan Marcelli, i dłoń swą na czole jego położyła. Rzecz szczególna! ręka jęj zgrubiła, ciężka, powleczone skórą czerwoną i szorstką, dziwnie miętko, łagodnie, pieszczotliwie nawet spoczęła na bladym, suchym i mnóstwem drobnych zmarszczek okrytym czole mężczyzny. Być może, iż dobroczynne złudzenie sprawiło, że cofnął się on w tęg półsennę chwilę ku najmłodszym swym latom, że zdało mu się, iż w ojcowskiej zagrodzie czoła jego dotyka młoda gałązka brzozy, lub skrzydło białego motyla; bo otworzył oczy pełne blasku i życia, a kąty ust jego podniosły się i zarysowały uśmiech wesoły. Z tym wyrazem na twarzy, pan Marcelli wydawał się innym wcale, niż zwykle, człowiekiem. Można by powiedzieć, że istotna natura jego na mgnienie oka wyjrzała z za maski, którą szczelnie, szczelnie przykleił do nięj los. Trwało to przecież krótko.

— Piąta już była, Marcelli; za pół godziny... do biura — rzekła pani Aniela, a jakkolwiek mówiła to cichym głosem i z tym uśmiechem, który u nięj, pośród warg zbyt szerokich, grubych, odsłaniał dwa rzędy zębów, pięknych jak perły; jakkolwiek, mówiąc to, przesuwała dłoń swą po włosach jego ruchem matki raczęg, niż żony lub kochanki; na twarz pana Marcellego spadła znowu maska sztywna, sucha, pomarszczona na czole, a na policzkach od starannego wygolenia lśniaca. Obie splecione dłonie położył na głowie, szklannym wzrokiem wpatrzył się w przestrzeń i tak pozostał przez chwilę, całą postawą swoją i całym wyrazem twarzy zdając się bezustannie, monotonnaie powtarzać:

— Co było, to jest, co jest, to będzie!

Mnięj, niż w godzinę potem, po wypiciu herbaty, do której pani Aniela podała chleb razowy, bułki i mleko, pan Marcelli włożył na siebie surdut swój z pozłaczanemi guzikami i zielonym aksamitnym kołnierzem, a wzięwszy w rękę czapkę, na której mdło świeciła srebrna gwiazdka zwrócił się do Julka:

— Jakże tam idzie ci w szkołach? — zapytał.

— Jak zwykle, ojcze! — odparł chłopak — dobrze jakoś!

— Dobrze? to dzięki Bogu! — rzekł kancelista i chudą bladą ręką swą przeciągnął parę razy po główce dziecka.

— Ucz się, ucz się! — dodał. Otworzył usta, jakby do tęg lakonicznej rady czy nauki coś jeszcze dodać pragnął. Lecz, bądź to przez odzwyczajenie się od mówienia, bądź przez pośpiech, bądź, że myśli, które miał w głowie, mąciły się, w skutek rzadkiego porządkowania ich i wyrażania, nie powiedział nic więcej, tylko, powtarzając wyraz: ucz się, ucz się, — mieszkanie opuścił.

Po odejściu męża, pani Aniela znowu przez czas jakiś brząkała w kuchence naczyniem, które myła i porządkowała; po czém przyniosła do bawialnej izdebki kosz z bielizną i, usiadłszy przy małej lampie, zabrała się do szycia i naprawiania mężowskiej, synowskiej, a może i swojej odzieży. Przed rozpoczęciem jednak roboty swęj, spojrzała przez ramię na syna i krótkim rozkazującym głosem dowódcy, jakim zwykła była przemawiać, zawołała:

— Julek! ucz się!

Chłopak wziął kilka podartych książczyn i, usiadłszy przy matczynęj lampce, gorliwie, półgłosem uczyć się zaczął. Lusia siedziała na swém wysokim krześle, przy oknie, w uprzedniej postawie, z rękoma wsuniętymi w rękawy sukni. Zamyślonym swym, chmurnym nieco wzrokiem patrzyła ona na żółte ściany, niby czarną podartą krepg, osnute lekkimi cieniami, — na mosiężne wahadło zegara, które jak złota iskra miarowo błyskało to z jednej strony dwu grubych czarnych sznurów, to z drugiej, — na kółko świetlane, które prostopadle nad lampką, pośród sufitu, naśladowało bladą tarczę miesiąca, — na panią Anielę nakoniec, która, w kilka chwil po wzięciu do rąk roboty, tak w nięj całą duszę swą utopiła, iż zniknęła ona całkiem z jęj twarzy. Ze zmarszczonem czolem i przygarbionemi plecami, z oddętymi wargami i okiem szklistém, w którym nie było śladu żadnej myśli, kobieta szyla, cerowała, łątała, od czasu do czasu tylko wzdychając ze zmęczenia, czysto mechanicznie, albo z zakłopotaniem kręcąc głowę, gdy dwa kawałki płótna zejść się z sobą nie chciały, albo dziura jakaś była tak wielką, że zasnuć jęj nicmi przedstawiało niezwykle trudności. Parę razy, w celu poprawienia warkocza, który osunął się i grubym złotym węzłem spłynął na przygarbione jęj plecy, podniosła głowę i zawołała:

— Julek! ucz się!

Julek prostował się, a głos jego, który był przycichł na chwilę, znowu brzmieć zaczynał w cichej izdebce, podobny do monotonnego brzęczenia pszczoły. O Lusi pani Aniela zdawała się zapominać. Dziewczynka nie zbliżała się do niej, ani ona jej nie przyzywała ku sobie, i wtedy dopiero, kiedy kukawka, załopotawszy skrzydłami nad cyferblatem zegara, po razy dziesięć, z nieścignionej zda się oddali, przywołała wiosnę, zielen i wesołość, pani Aniela zerwała się z siedzenia, pośpiesznie do kosza złożyła robotę i zawołała:

— Dzieci! spać!

I zaczęła ślać pościel, naprzód na dwóch łóżkach w sypialni, potem na kanapie w bawialnej izdebce i na tapczanie w kuchence.

W kilka chwil później, zajęta już była czyszczeniem skromnej sukienki Lusi i owijaniem w małe papierki posrebrzanych guzików u mundurka syna, ażeby nie niszczyły się przez noc.

— Julek! zmów pacierz! — zawołała.

Chłopak upadł na kolana przed tapczanikiem swym, z takim zniecierpliwieniem, że aż zatrzęsała się podłoga kuchenki.

— A ty moje dziecko? czy umiesz pacierz?

— Umieć! — odpowiedziała Lusia.

— No! to zmówże go zaraz.

I dziewczynka uklękła także przed wysoką, rozłożystą kanapą, splotła u piersi małe ręce, a czarne, zamyślonne oczy wzniosła wysoko, tam, kędy żółta ściana łączyła się z opylnym sufitem. I dziwna rzecz! teraz dopiero kilka drgnień nerwowych przebiegło drobne, piękne jej rysy i strumień łez popłynął z oczu. Był to przecież płacz cichy, tak cichy, że pani Aniela nie dosłyszała go, ani spostrzegła, tém bardziej, że usłyszawszy na wschodach męzkie kroki, otwierała z pośpiechem drzwi mieszkania, aby na godzinę przed północą wracający z biura mąż jej ani chwili nie czekał przede drzwiami. Troskliwość ta zbyteczną nie była. Pan Marcelli bywał w porze tej więcej, niż kiedy, zmęczonym i zmartwiałym. I nie dziw! Do sześciu godzin dziennych, spędzonych nad machinalnym przepisywaniem urzędowych papierów, dodał on jeszcze pięć wieczornych i — jakkolwiek pracował tylko rękoma, głowę miał ciężką, senną i znużoną. Rzecz to jest zresztą pospolita i zwykła, że wśród pracujących ludzi ci miewają wieczorem najciężej senne i znużone głowy, którzy głowami nie pracują wcale...

Małżonkowie nie powitali się pocałunkami, ani głośną rozmową, tylko pani Aniela uśmiechnęła się do męża, zwykłym sobie uśmiechem szerokim, lecz świeżym; on zaś, na odpowiedź, suchą swą, bladą dłonią pogłaskał z lekka złoty jej warkocz.

— Idź-że! rozbieraj się, — rzekła — a ja zaraz przyjdę z gazetą.

Z gazetą! cóż ich znowu obchodzić mogły gazety, owe posłanniczki dalekich światów, opowiadające o przestrzeniach szerokich, wypadkach wielkich, ludziach sławnych, nadziejach i trwogach ogromnej ludzkości, — ich, którzy żyli w ciasnym żółtym gnieździe, pod samym prawie niebem umieszczonym, wśród drobiazgów i pospolitości ubożego bytu? — ich, nieznanym nikomu i wzajem nic prawie nie znających! Obchodziły one jednak pana Marcellego bardzo gorąco i musiało to być zamiłowanie wielkie, skoro i on i pani Aniela decydowali się corocznie na wielki dla nich wydatek prenumerowania gazety. Decydowali się jednak, i jedyne te, znajdujące się w domu ich druki (oprócz książek do nauki Julka), zamknięte w szufladzie komody, zostawały, jak wszystko zresztą w domu, pod pilną strażą pani Anieli. Z gazetą tedy w ręku pani Aniela weszła do sypialnego pokoiku i, usiadłszy pomiędzy dwoma łóżkami, głośno czytać zaczęła o dokonywających się we Francji wyborach do parlamentu, o rozprawach w austriackiej radzie państwa, o angielskich wigach, irlandzkich Fenianach, Kedywie egipskim, Szachu perskim, o Afganistanie, Abissynii, Meksyku, Rzeczypospolitej Argentyńskiej i t. p. Z całego usposobienia pani Anieli z łatwością wnieść było można, że wszystkie rady i parlamenty, i wszyscy kanclerze państw wszystkich, że wszyscy Kedywi, Emirowie i wszystkie formy rządów, i plany dyplomacji, stanowiły dla niej tylko chaos imion i wyrazów, obojętny, nudny, niezrozumiały i ochoty do zrozumienia nie budzący. Była bardzo zmęczoną dniem przepracowanym, była też znużoną czytaniem śmiertelnie; lecz najbystrzejsze oko daremnieby w całej powierzchowności jej szukało najłżejszego objawu zmęczenia i znużenia. Czytała głośno, równo, wyraźnie, uśmiechniętymi ustami; a kiedy poziewanie dławic ją zaczynało w sposób nieprzewyciężony i powieki opadały na oczy tak ciężko, jakby były

przepojone ołowiem, z nad wielkiego arkusza gazety rzucała parę szybkich spojrzeń na męża... Pan Marcelli, leżąc nawznak i paląc cygaro, wydawał się skąpanym w jakichś życiodawczych, odmładzających wodach. Oczy jego błyszczwały, twarz mieniła się grą uczuć różnych: zadowolenia, zmartwienia, wesołości, obawy. Niekiedy z energicznymi gestami wydawał głośnie okrzyki:

— A niech-że go! tego Bismarcka! — wołał — zawsze znajdźcie on sposób jaki, aby postawić na swoim!

Albo z szerokim, serdecznym śmiechem:

— Liberalni zwyciężyli! tegom się spodziewa! O! nie zduszą ich już we Francji, nie zdławią! Ot kraj... niebo!

To znowu, zamyślając się, poważnie mówił:

— Ktoby się to mógł spodziewać, aby systemat federacyjny raz jeszcze upadł w Austrii! Czy oni nie widzą, że jest to dla państwa jedyna deska zbawienia!

Bawił się pan Marcelli w czasie czytania tego, myślał, kombinował, przebywał cały szereg wrażeń, — żył. Pani Aniela bohatersko przewyciężała senność, nudę, zmęczenie, i od czasu do czasu rzucając spojrzenia na rozgorzałego i ożywionego męża — czytała... Kiedy skończyła czytać, pan Marcelli, topiąc w twarzy jej długie spojrzenie, rzekł:

— Zamęczasz się, Anielko, dla mnie tém czytaniem...

Wybuchnęła śmiechem.

— Ot, śmieszna rzecz! — zawołała. — Nie mogę nigdy oduczyć cię od tego: zamęczasz się! zamęczasz się dla mnie tém czytaniem! Żebyś ja ci zaczęła klektać codziennie nad głową: zamęczasz się, Marcelli, zamęczasz się dla mnie i dla dziecka tém pisanem w biurze! miło by ci było? Co trzeba, to trzeba. Każdy robi, co do niego należy, i koniec. Przecież ta gazeta, to twój klub, twoje spacerki, twoje wszystkie wesołości i rozrywki. Chwała Bogu, że ją tak lubisz!...

Jakby sobie co przypominała, sięgnęła do kieszeni, wyjęła z niej dużą miedzianą dziesiątkę i, pokazując ją mężowi, rzekła:

— Zostało od dzisiejszego obiadu... czy wrzucić?

Zapytanie to byłoby wielce zagadkowym, gdyby, czyniąc je, pani Aniela nie wskazała gestem sporego pudełka, przybitego do ściany i, jak to bywa we wszelkiego rodzaju skarbonkach, zaopatrzonego w wązki otwór do wrzucania pieniędzy. Do zielonej powierzchni pudełka przyklejoną była biała kartka, a na niej, pismem pana Marcellego, tém samym bujnym, pięknym pismem, którym przez 11 godzin dziennie napełniał on arkusze aktów i dokumentów biurowych, nakreślone były wyrazy:

— „Dla Julka, na uniwersytet”.

Trzymając miedzianą dziesiątkę w dwu palcach, pani Aniela powtórzyła pytanie:

— Wrzucić?

— Dziś mamy trzynasty — z rozważą zaczął pan Marcelli — dwudziesty za tydzień. Za mleko i bułki zapłaciłaś?...

— Wczoraj! co do grosza!

— Wrzuć! — wyrzekł mąż.

Miedziany pieniądz zniknął we wnętrzu skarbonki, a pani Aniela, rozpinając suknię, rzekła:

— Ciekawam, ile już tam być może?

Po chwili zaczęła znowu:

— Uczy się doskonale, jest drugim uczniem w klasie; a wczoraj mówił mi, że, gdyby tam nie wiem co, na przyszły rok musi być pierwszym...

Szeptem, do głębokiego westchnienia podobnym, pan Marcelli odpowiedział:

— Dzięki Bogu!...

A gdy pani Aniela zdmuchnęła lampkę, w ciemności zaczął jeszcze:

— Żeby nie ty i nie Julek...

Nie dokończył, bo w téjże chwili pani Aniela, czarodziejską mocą jakąś uspiona, zachrapała przeciągle i głośno.

W taki to sposób płynęło życie Ryżyńskich, a wszystkie dnie były tak zupełnie do siebie podobne, jak na jeden sznur znizane, doskonale dobrane paciorki. Zrana pani Aniela była bardziej jeszcze zajęta, niż wieczorem. Palila sama w piecach, chodziła do miasta po sprawunki, zamiatała pokoiki, na koniec gotowała obiad, a doglądając sporządzanej

żywności, szyla, prała, prasowała... Trudno było powiedzieć na pewno, czy, spełniając wszystkie czynności te, które zazwyczaj spełnia osób kilka, wesołą była, czy smutną; bo trzy owe głębokie fałdy, przerywające jej czoło, sprzeczały się zawsze ze świetną świeżością jej cery, a szczególnie z ustami, tak skoremi do uśmiechu, że spotykała z nim każdego, ktokolwiek zjawiał się na progu kuchenki.

Małe zmiany w trybie tym życia zachodziły tylko w niedziele i dniach świątecznych; w dniach te bowiem pan Marcelli, wolny od zajęć biurowych, sypiał długo, a spędziwszy rano w jednej z miejskich cukierni, gdzie dla odmiany czytywał gazetę inną, niż ta, którą miał w domu, wieczorem szedł do któregoś z kolegów swych na preferans. Preferans, po dziesiątej części grosza punkt, nie trwał nigdy dłużej, jak do północy; pan Marcelli jednak, wróciwszy do domu, przeciągał się, poziewał i mówił do żony:

— O, jakżem się znudził i zmęczył!

Jednakże w niedzielę następną grał znowu, z razu z ochotą i ożywieniem, rad jakby urozmaicenia, jakie gra wlewała w monotoność jego życia; obojętnie potem i ze znużeniem, tak, jakby uczuwał całą nicość i pustkę urozmaicenia tego. I znowu, w każdą sobotę, po przeczytaniu gazety, zabierając się do snu, głosem, który odbrzmiewał zadowoleniem, mówił do żony:

— Jutro pójdę na preferans.

Kiedyś, kiedyś, pan Marcelli czytywał w wieczory świąteczne pożyczane tu i ówdzie książki, albo, małego syna biorąc na kolana, próbował prowadzić z nim długie, a naucające rozmowy. Lecz do rozrywek umysłowych, zarówno jak do pedagogicznych rozmów, przystępować trzeba niezbędnie z pewną stosowną wprawą, i nadewszystko — z pewną swobodą umysłu, której pan Marcelli nie posiadał.

Nie posiadał on swobody umysłu, pośród wielu przyczyn różnych i dla tej jeszcze przyczyny, że wraz z rodziną swą stał na ruchomym gruncie, co na lada skinienie któregośkolwiek z pośrednich, lub bezpośrednich zwierzchników jego, roztworzyć się mógł pod nim i strącić go w czeluść, w której czarne głębie patrzeć nie mógł bez zawrotu głowy. Był on jednym z tych, do których stosować się mogą słowa ewangeliczne: „nie znacie dnia, ani godziny”... z dodatkiem: „kiedy dachem waszym staną się lazury niebios, a chlebem — kamienie, rozrzucone po ojczystej ziemi”.

Zdarzało się, że łagodny i ludzki zwierzchnik pana Marcellego wzywany był gdzieś indziej, na inną jakąś posadę, a zastąpić go miał ktoś nieznany jeszcze, mający dopiero przybyć z kądś i dać się poznać... w jaki sposób? było to pytanie, dla mieszkańców złotego, pod niebem zawieszonego, gniazda, równające się w wadze i sile Hamletowskiemu: być albo nie być? Człowiek ten, mający przybyć z daleka, a w którego usposobieniach spoczywała zagadka ich losu, stawał też przed ich wyobraźnią owinięty w mgłę, pełną uroczyściej tajemniczości, wśród której przybierał potężną, a nieubłaganą postać starożytnego Fatum. Złote hafty, zdobiące kołnierz i rękawy jego ubrania, wyglądały jak wyroki, pisane niepodobnemi do wyczytania hieroglifami. Fatum to i te hieroglify wisiały nad ich głowami i stały przed ich wzrokiem przez długie nieraz dni i tygodnie. Przybywał nakoniec... jutro już przybyć miał, rozpowinąć się z mgieł tajemniczych i ludzką stopę postawić na brudnej podłodze sal kancelaryjnych. Pan Marcelli wychodził do biura, a pani Aniela, odprowadzając go do połowy wschodów, zamiast zwykłego niepokoju, miała w oczach wyraz przerażenia. Idąc obok siebie, nie mówili do siebie nic i rozstawali się w milczeniu; za to, usłyszawszy kroki wracającego męża na wschodach, kobieta wypadała z mieszkania i spotykała go tak pośpiesznie, że aż zdyszanymi pytaniami:

— Cóż? cóż? widziałeś? mówił z tobą? jakież on?

Niekiedy pan Marcelli uśmiechał się blado i z uspakajającym gestem mówił:

— Nic, nic; zdaje się, że dobrze będzie!

Częściej jednak wzruszał z wolna ramionami i wymawiał:

— Kto go wie?

Znaczyło to, że potężne Fatum nie raczyło jeszcze zrzucić z siebie mglistą swą oponę; że zatem wyrok, wypisany złotem i niemi na kołnierzu i rękawach jego ubrania, wyczytać się jeszcze nie dał. Znaczyło to, że po dniu tym nastąpić miały liczne jeszcze dni, w których pani Aniela zbiegać będzie ze wschodów na spotkanie męża, pytając: cóż? cóż? i w których pan Marcelli, zaledwie dotknąwszy obiadu, po obiedzie nie znajdzie

w parogodzinym śnie odpoczynku i zapomnienia, bo sen spędzą mu z powiek trwożne światelka, błędzące w ostygniętych jego źrenicach.

Trwoga ta przecież, którą Rzyżynscy czuwaliby przed wypadnięciem z żółtego gniazda pod lazury niebios i pomiędzy kamienie ojczystej ziemi, była tłem tylko, usianem pomniejszych może w położeniu ich, niemniej jednak dolegliwymi niepewnościami. Były to niepewności takie, jakich zazwyczaj doświadcza człowiek, wiedzący, iż lada chwila, w osobistą godność jego, w tę zresztą — kto wie? — robakom nawet może przyrodzoną właściwość, jaką jest miłość własna, ugodzić może ostrze obelgi. Ludzie w ogóle, a zatem i zwierzchnicy biurowi, miewają usposobienia różne, a wśród usposobień tych istnieją: kaprys, uprzedzenie, antypatya i tym podobne psychiczne objawy, którym zapobiedz niepodobna, ale które przewidywać można. Ilekroć zaś zdarza się, że ludzie w ogóle, a zwierzchnicy biurowi w szczególności, pofolgują tym władzom, istniejącym w przyrodzeniu człowieczem, — a zdarza się to dość często, — tylekroć wyniknąć ztąd mogą rozmaite następstwa, z których jednym jest to, że ten i ów wraca do domu swego tak, jak nieraz wracał pan Marcelli, nie z trwożnym już światelkiem, lecz z ponurym ogniem w oczach, z piersią oddychającą ciężko, z głową, z której wichry bólu i gniewu wymiotły aż do ostatniej wszystkie myśli spokojne i jasne.

Kiedy pan Marcelli wracał do domu w usposobieniu takim, pani Aniela zgadywała od razu, co było. Nigdy jednak nie zapytywała go, zaraz w chwili powrotu: jak to było? Po obiedzie dopiero, o szarej godzinie, widząc, że mąż nie zamierza udać się do małej sypialni na poobiedni spoczynek, siadała obok niego na rozłożystej kanapie i, przychylając głowę swą ku głowie jego, zapytywała szeptem:

— Cóż się tam stało? za co? jak?

Czasem odpowiadał jej krótkimi i niechętnymi wyrazami; częściej jednak, gdy zmrok szarą oponą przysłaniał okno, czarne cienie, nakształt podartej krepy, zalegały sufit, zegar na ścianie chrypliwym szeptem prawił swe wieczne monotonne: tak-tak! gdy z ulicy, ciągnącej się kędyś w głębokim dole strzelały ku górze i aż tu dolatywały przeciągłe, bolesne dźwięki katarynki; w melancholijnej porze tej, w której kochankowie szepczą najmiłośniej, a poeci najrozkoszniej marzą, pan Marcelli w suchą, bładą dłoń swą ujmował rękę żony i szeptać coś do niej zaczynał tak długo, jak nigdy w innych porach nie zwykł był mówić. Być może, iż wrażenia, doświadczone w dniach owych, wstrząsały istotą jego i wskrzeszały zdławione jej energie; bo z ciężkiego szeptu jego wybijały się od chwili do chwili, głośno wymawiane, słowa gniewu czy żalu, na które pani Aniela pragnęła snadź odpowiedzieć słowem nadziei, bo często, często wymawiała imię:

— Julek!

*

Otockiemu na posadzie szwajcara w hotelu Wszech-Krajów wiodło się wcale nieźle; możnaby nawet było powodzenie jego nazwać bardzo dobrém, gdyby nie przesady pewne, głęboko w nim zakorzenione, a których przełamywanie, z początku szczególnie, wiele kosztować go musiało. Zwyczajem jest naprzykład, w całym ucywilizowanym świecie przyjętym, że goście hotelowi, w chwili odjazdu, szwajcarowi, pomagającemu im wsiadać do powozu, wsuwają w dłoń pieniądze mniejszej lub większej wartości, jako zapłatę za oddane im przez niego usługi. Kiedy Otockie po raz pierwszy uczuł wpadające w dłoń swą srebrne pieniądze, krew jak ukrop buchnęła mu do twarzy, a całą postacią, zupełnie mimo woli i wiedzy, rzucił się w tył. Zmiarkował się jednak prędko, srebrne monety do kieszeni wysypał i jedną ręką podpierając łokieć wsiadającego do powozu gościa, drugą starannie mu pod nogi futro zaścierał. Lecz, gdy wyprostował się, stał przez chwilę jak w ziemię wryty i tak gwałtownie targał białego wąsa, jak gdyby chciał wspaniałe to przyzdobienie twarzy swęj z korzeniem wyrwać. Wstręt do brania pieniędzy od hotelowych gości i do podpierania dłonią łokci ich, gdy umieszczali się w powozach, był najpewniej skutkiem przesądów; gdyż wiadomo powszechnie, że świat stoi na zamianie przysług, będącej węgielnym kamieniem, jeżeli nie porządku świata, to przynajmniej wielu, z pomiędzy zajmujących się badaniem porządku tego, teoryj ekonomicznych. Otockiemu przecież, w chwilach dla niego ciężkich, żadna z teoryj ekonomicznych, ani innych, do głowy nie przychodziła.

Inny znowu przesąd, mogący zatruwać życie szwajcara, gdyby nie uporał się był z nim jako tako, ujawniał się z razu w stosunku do pana Leonida Igorowicza, który, będąc wesołym i skłonny do żartobliwości, był też nieco dumny, względem tych szczególnie, którzy tak, jak Otocki, mieli za sobą stale zapewnione dożywocie na obszernym królestwie biędzy. Otocki w żaden sposób nie mógł pogodzić się z podobnym zapatrywaniem się na dostojność ludzką w ogóle, a na swoją osobę w szczególności; ztąd pomiędzy nim a rządcą hotelu zachodziły z razu drobne kolidacje, których wynikiem byłoby może całkowite nawet zerwanie stosunków Otockiego z hotelem, gdyby w głębi oszklonej izdebki, przed żelaznym piecykiem, nie szarżała drobna postać dziecięca, na stołku siedząca i zziębnięte stopy rozgrzewająca przed czerwono żarzącymi się w piecyku węglami. W gruncie rzeczy zresztą, pan Leonid Igorowicz był dobrym chłopcem i umyślnie a systematycznie zniechęcał się nad kimkolwiek tym mniej cechować mogło charakter i postępowanie jego, że czuł się on na tym bożym świecie doskonale szczęśliwym i nieograniczenie z własnej osoby swój zadowolonym. Wiadomo zaś jest, że ludzie szczęśliwi i radzi z siebie wyjątkowo chyba bywają okrutni. Nakoniec pan Leonid Igorowicz posiadał edukacją i wiedział dobrze, iż pierwszą a nieodłączną cechą człowieka z edukacją jest — grzeczność. Na ogół więc bywał on względem szwajcara grzecznym, a jeżeli z początku pozwalał sobie niekiedy na lekkie poigranie z przeszłością i uczuciami jego, był to tylko wynik ślepego posłuszeństwa modzie, będącego też, jak dobrze o tym wiedział, nieodłączną właściwością człowieka z edukacją. Wypływając z posłuszeństwa modzie i wrodzonej zresztą żartobliwości, nie zaś z jakichbyś zasad lub namiętności, igraszki te pana Leonida Igorowicza uprzykrzyły mu się wkrótce i całkiem ustały, a w zamian przyniósł on dnia pewnego do izdebki szwajcara stos ksiąg rachunkowych, i składając je na starém biurku, z wyszukaną niemal grzecznością przemówił:

— Ja mam nadzieję, że pan Otocki odda mnie tę przysługę i przeszłego miesiąca rachunki ureguluje. Wszak pan Otocki dobrze rachować umie? nie tak zapewne, jak ja, który byłem dwa lata w szkole handlowej, w samym Berlinie, ale zawsze umie. Tu roboty nie wiele, na jaki tydzień; w przestankach pomiędzy przychodzeniem pociągów, pan będziesz mógł zająć się tym sobie... bo ja będę miał w tym tygodniu aż dwa wesela w mojej rodzinie, na których mnie trzeba być koniecznie, a rachunki przecież czekać nie mogą; prawda?

Otocki wielkimi oczyma patrzył na przemawiającego doń w ten sposób pana Leonida Igorowicza, nie mogąc snadź zrozumieć, jaki stosunek zachodził pomiędzy regulowaniem rachunków hotelowych, a przyjętymi przezeń obowiązkami odźwiernego. Widać nawet było, że z razu uczuł w sobie to wewnętrzne poruszenie, do jakiego był z natury wielce skłonny, a które nazywa się poprostu gniewem; gdyż źrenice jego błysnęły jak stal, a ręka z nagłą i silnie targnęła białego wąsa. Byłby też zapewne udzielił odpowiedzi co najmniej odmownej, gdyby u żelaznego piecyka nie poruszyła się w téjże chwili, siedząca tam na stołku, mała dziewczynka, i sprawionym przez to szmerem nie zwróciła w tę stronę wzroku jego. Spojrzył przelotnie na bladawą drobną twarz dziecinną, oświetloną czerwonym blaskiem żaru, i spokojnie panu Leonidowi Igorowiczowi odpowiedział:

— Prawda!

— To proszę bardzo, żeby te rachunki były akuratnie zrobione. Ja tu czasem zajrzę i zobaczę, jak to pan robić będziesz. A teraz *adiu*. Mój kuzyn dał mi na całe dwa dni urlop, z powodu tego wesela. Przyjdę aż pojutrze.

Wyszedł, wesoły i śmiejący się, jak zwykle, a Otocki zasiadł przed biurkiem, rozłożył przed sobą księgi, napełnione długimi kolumnami cyfr, i włożywszy okulary, pracowicie rozglądać się zaczął w nowym zadaniu, które, wiedział o tym dobrze, spełniać już miał nadal zawsze. W izdebce panowało przykre światło, złożone z bladych smug dziennych, wnikających z sieni przez szklaną ścianę, i z żółtej łuny, którą rzucał wiszący nad biurkiem płomyk gazowy. W świetle tym głowa szwajcara, pochylona nad księgami, nie wydawała się wcale zgnębioną. Pracował on z trudnością widoczną, ale z ochotą i nawet gorliwie, często jednak podnosząc twarz i przelotne spojrzenie rzucając w stronę żelaznego piecyka. Lecz o ileż weselej, jakże nawet rozpromienionym był wtedy, gdy, po dwóch godzinach pilnej roboty, spojrzawszy na srebrny swój zegarek i przekonawszy się, że do przyjscia najbliższego pociągu kolei zostawało jeszcze trochę czasu, zwrócił się całą postacią ku

żelaznemu piecykowi, i, wyciągając w jego kierunku oba ramiona, z serdecznym śmiechem zawołał:

— Ptasiu mój, ptasiu, ptasiu! chodź! chodź!

Dziewczynka przecież, siedząca przed czerwonym żarem, na wołanie to nie zleciała jak ptaszę w objęcie jego, lekko i ze szczebiotem; lecz, zsunąwszy się ze stołka, szła ku niemu z wolna, poważnie. On pochwycił ją na ręce i, śmiejąc się wciąż, huśtać ją zaczął tak, jak to czynią piastunki z bardzo małymi dziećmi. Wtém dotknął dłonią drobnych jej stóp, które, nie dostatecznie obute, nie zdołały rozgrzać się przed dogasającym ogniem piecyka.

— O mój Boże! — zawołał — ależ tobie w nóżki zimno! trzewiczki masz takie lekkie, a ja głupi dziad dotąd tego nie spostrzegłem!

Uderzył się dłonią w czoło... Zaleciwszy Lusi, aby cichutko siedziała w izdebce, czekając jego powrotu, porwał czapkę z galonem i wybiegł na miasto. Wrócił bardzo prędko, z malutkimi, ale ciepłymi pończoszczkami i bucikami w dużych swych rękach; posadził Lusię na stołku i, ukląkszy przed nią, zajął się ubezpieczaniem nóg jej od chłodu. Zdejmowanie i wkładanie dzieciennego obuwia szło mu bardzo niezręcznie i z większą nierównie trudnością, niż regulowanie rachunków hotelu Wszech-Krajów. Otwierał usta, sapał głośno, męczył się tak, aż mu kilka kropel potu wystąpiło na wysokie czoło; lecz dokonał zadania i, pochylony niżżej jeszcze, malutką nóżkę wnuczki namiętnie ucałował. Ubóstwiał ją. Ona uśmiechała się, blade patrząc na niezgrabnie poruszające się dokoła stóp jej ręce dziadka; a gdy już podniósł głowę, zarzuciła mu na szyję obie ręce i kilka głośnych pocałunków wycisnęła na jego policzkach. Nikt opisać nie zdoła radosnej hury, która wybuchnęła na twarz Otockiego i nadała jej wyraz bezgranicznego uszczęśliwienia. Zawołany w téjże chwili przez przybywających do hotelu gości, nie szedł, ale leciał, prowadząc ich po wschodach na wysokie piętra hotelu, uprzejmy nad wyraz, gadatliwy nawet, a tak zręczny w pokazywaniu i zachwalaniu hotelowych apartamentów, jakby nic innego nad to w życiu swoim nie robił.

Innym razem, — a bywało to najczęściej wieczorami, gdy wielka ozdobna sień hotelu pałała od gazowego światła, a za oknem, pod krytym podjazdem, coraz rzadsi przesuwali się przechodnie, — Otockiego siedział przy biurku, trzymając wnuczkę na kolanach i wraz z nią czytając podartą książczykę, którą w innych porach starannie chował do szuflady biurka. Srebrny, choć przytłumiony nieco głos dziecinny, z razu niepewnie i jękając się, potem coraz biegłej, a nawet z coraz wyraźniejszą i patetyczniejszą deklamacją, napelniał izdebkę harmonijnymi dźwiękami, zaklętami w wierszach „Śpiewów Historycznych.” Kiedy górne piętra hotelu wrzały ruchem i gwarem, a w wielkiej sieni, wśród powodzi światła, siedział i drzemał na ławie jeden tylko stary, brodaty kommisyoner, za szklaną ścianą srebrny głosik wydzwaniał:

Ten, co najpierwszy ujrzał światło wiary,
Niosąc zbawienie ludowi i sobie
Syt lat i chwały, już Mieczysław stary
Legł w przodków grobie.

Ile było w wierszach tych wyrazów, tyle pocałunków usta szwajcara wyciskały na policzkach i czole wnuczki; ona zaś czytała, lub mówiła coraz głośnieją, z czarnym swém okiem, utkwioném w wiszący wysoko płomyk gazowy, który téż napelniał iskrami głębie jej źrenic.

Czasem za ścianą izdebki w znajdującym się tam obszernym i wykwintnym apartamencie, rozlegały się odgłosy hucznych biesiad, dzwoniły szkła, huczały śmiechy swawolne, lub pieśni hulaszczcze. Słuchając odgłosów tych, Otockiego zamyślał się, a niekiedy drżąc dłonią przecierał zorane czoło i oczy, w których przelatowały stalowe błyski bólu czy gniewu. Lecz, nie zważając na hulaszczą wrzawę, która szumiała za ścianą, mała dziewczynka, z lnianymi włosy i patetycznym spojrzeniem wzniesionych w górę oczu, deklamowała:

Za szumnym Dniestrem, na Cecorskim błoni,
Gdzie Żółkiewskiego spotkał los okrutny,
Jechał Sieniawski, odważny i smutny,
W błyszczącej zbroi i na śnieżnym koniu.

Otocki budził się z zamyślenia, łagodniał, uśmiechał się i mówił:

— Śpiewaj! śpiewaj ty mi, ptaku mój najdroższy! dzwoń, dzwoń skowronku! leć w górę i mnie bierz z sobą!

Skowronek dzwonił dalej:

Maj właśnie drzewa i kwiaty rozwijał,
Księżyc, w noc cichą świecąc roztoczony,
O srebrne skrzydła i hełm się odbijał,
Lecz rycerz wzdychał, żalem obciążony.

I późna już czasem bywała godzina, gdy obok izdebki szwajcara, w wykwinnym apartamencie hotelowym, zabawa i wrzawa dochodziły szczytu swego, a przeraźliwym śmiechom, brzękom tłuczonych szkieł i wykrzykom, obwołującym przegraną i wygraną, wtórował srebrny i zapalem wzdęty głos dziecinny:

Cecorskie pola i wy głuche lasy,
Co na wierzchołkach swych wiatry niesiecie!...

Raz, po wieczorze, w sposób ten spędzonym, w noc mroźną i księżycową, Otocki odprowadzał wnuczkę do mieszkania Ryżyńskich.

Dopóki znajdowali się wśród ulic, pełnych gwaru i przechodniów, w milczeniu szła obok dziadka; lecz gdy tylko weszli na mały plac, cichy i pusty prawie, ozwała się nagle i głośno:

— Dziadziu! dziadziu! patrz!

Zarazem stanęła i z twarzą, wzniesioną w górę, palcem ukazywała na to miejsce odsłoniętych niebios, gdzie białe obłoki, szeregiem niby mar lekkich i rozwiewnych, sunęły zwolna nad tarczą księżycą.

— Co? — pochylając się nad nią, zapytał Otocki — co mi tam ciekawego pokazujesz na niebie?

— Rycerz! — odrzekła. — Tam! widzisz, dziadziu? w hełmie i ze skrzydłami... z takimi srebrnymi skrzydłami...

Wlepiała wzrok w widziadło, które ukazało się jej pod głębokim sklepieniem nocnego nieba i uśmiechniętymi ustami szeptała:

Jechał Sieniawski, odważny i smutny,
W błyszczącej zbroi i na śnieżnym koniu!

Odtąd, przez czas dość długi, gdy tylko w noc księżycową znajdowała się na ulicy, albo w lecie siedziała przy otwartym oknie małej bawialni Ryżyńskich, zamyśloną swym, a w głębi ognistym wzrokiem szukała na niebie „smutnego” rycerza, którego skrzydłami były lekkie mgły nocne, rumakiem obłok biały, a hełmem — złocisty odbłask księżycy. Możliwe powiedzieć, że kochała się ona w rycerzu tym, który przed dziecięcą jej wyobraźnią spłynął po tęczowym szlaku poezji, tak często bez wezwania i z własnego popędu wypowiadała wiersz, zawierający dzieje jego, z takim głębokim przejęciem się odegrywała akcją, w wierszu tym zawartą. Działo się to w sposób następny. Wybiegała do sieni i ztamtąd wjeżdżała do izdebki dziada na „śnieżnym rumaku”, galopując, ramionami naśladowując ruch skrzydeł, patrząc w sufit, jakby w „księżyc cicho roztoczony” i zmierzając wprost ku żelaznemu piecykowi. Tu stawała w melancholijnej, zadumanej postawie i nagle schylała się, wołając: „hełm”, a z pomiędzy czarnych nóżek piecyka wydobywszy brzydkie, i drobne ręce jej czerniący, odłam węgla, oglądała go ze stron wszystkich, aż znajdowała „w zbyt drogim kamieniu herb Żółkiewskiego i rdzy krwawej znaki”. Wtedy zwracała się ku izdebce i z takim wyrazem, jakby na świadectwo smutku swego brała ściany i stołki, widniejące za oknem kolumny podjazdu i wiszący w powietrzu płomyk gazowy, zaczynała:

«Cecorskie pola i wy — głuche lasy...»

Gdy kończyła strofę, oczy jój bywały czasem pełne łez.

Raz, gdy więcéj, niż kiedy, poważna i zamyślona, z rękoma, wsuniętymi w rękawy sukni, siedziała na stołku obok biurka, przy którym dziad jój pogrązał się w przeglądaniu ksiąg hotelowych, Otocki oderwał wzrok od roboty swój, popatrzał na nią długo, potem wyszedł na chwilę i wrócił, niosąc dużą, pięknie ustrojoną lalkę.

— Masz lalkę, małeńka — rzekł — kiedy będę zajęty, albo odéjdę ztąd na chwilę, będziesz się nią bawiła i weselój ci będzie.

Dziewczynka z nagłym okrzykiem radości pochwyciła ładną zabawkę; lecz wkrótce zaczęła nad czémś głęboko myśleć i rozplatać jasne swe włosy, które dwoma grubemi już warkoczami otaczały jój głowę.

Rozplótszy włosy, owinęła lalkę w ciepły swój płaszczyk i, przybrawszy żałośną postawę, zaczęła zwolna kołysać ją w ramionach. Otocki, zsummowawszy w księdze kilka kolumn cyfr, spojrział na wnuczkę.

— Cóż to znaczy? — żartobliwie zapytał — dla czego rozplotłaś włosy i tak żałośliwie spuszczasz głowę nad swoją lalką?

Nie zmieniając postawy, przytłumionym głosem deklamować zaczęła:

Od dworaków opuszczona,
Helena w stroju niedbałym,
Gdy syna tuli u łona,
Co go zwano Leszkiem Białym...

— Aha! — śmiejąc się głośno i rozkosznie, zawołał szwajcar, — to znaczy, że ty jesteś Heleną, od dworaków opuszczoną, a te rozpuszczone włosy — to strój niedbały, a lalka — to Leszek...

Tu rozległ się w sieni głos pana Leonida Igorowicza:

— Otocki! Otocki! nu, panie Otocki! zaprowadzić *te państwo* pod Nr. 48...

Pochwycił z czarnej tablicy jeden, z wiszących na niej kilku rzędami, ciężkich kluczy i wybiegł, a gdy, po upływie kwadransa, wrócił, Lusia patrzyła przez okno na przesuających się za niem przechodniów, a lalka, daleko odrzucona, leżała na ziemi.

— Cóż? — zapytał — dla czegoż nie bawisz się swoją lalką?

— Nie chcę! — odpowiedziała krótko — nieżywa!

Było w niej coś, co w szczególny sposób pociągało ją ku wszystkiemu, w czém wyrażała się akcja jakaś, patetyczność bólu, albo energia czynu. Z pomiędzy licznych posągów, zdobiących hotel, najulubieńszemi, temi, przed którymi zatrzymywała się w każdej swój po hotelu wędrowce, były te, które w wyciągniętych ramionach dzierżyły miecze, lub, z podniesionemi twarzami i rozwarłymi ustami zdawały się krzyczeć z bólu, albo o ratunek wołać. Skrzydlate kupidyny i pyzate dzieci, w pulchnych dłoniach podnoszące kosze z kwiatami, a śmiejące się szeroko i do każdego, kto na nie spojrział, omijała ona obojętnie, albo nawet ze wzgardliwém spojrzeniem, zdającém się mówić: „I czegoż śmiejecie się tak ciągle i pokazujecie swoje brzydkie, opylone kwiaty? Wyglądacie bardzo głupio!”

Gdy ubiegło lat parę, dziad i wnuczka umieli już na pamięć „Śpiewy Historyczne” i po wiele razy przeczytali wspólnie drugą książeczkę, która znajdowała się w posiadaniu Otockiego, a którą były *Psalmy*. Dziwne zaprawdę wrażenie sprawić-by mógł widok małej téj jasnowłosej dziewczynki, gdy, siedząc na kolanach dziadka, z ramieniem, na szyję jego zarzuconém, drobnemi, bladawemi ustami swemi czytała:

Jako dym, tak lata moje uleciały,
Kości jako główne moje wygorzały...
Jestem jako w lesiech pelikan schowany,
Jestem jako puhacz w pustynią w mieszkany...

Kiedy już i *Psalmy* wszystkie umiała na pamięć, Otocki zaczął ją uczyć pisania. Na tém przecieź drugim studjum skończył się dla niej kurs nauk, otrzymywanych w oszklonój izdebce odzwiernego. Miała już lat 10 i pisała tak prawie biegle, jak czytała, gdy lekarz jakiś otworzył drzwi izdebki, w celu zasiągnięcia u odzwiernego potrzebnych mu informacji.

Ujrawszy dziewczynkę, siedzącą przy starém biurku i gorliwie zejętą przepisywaniem jednego z Psalmów, popatrzył na nią uważnie i zwrócił się do Otockiego:

— Zapewne, to córka lub wnuczka pana. Źle pan robisz, że ją tu trzymasz, a gorzej jeszcze, że jęj tu pracować każesz. Powietrze tu niedobre, a pomieszenie światła dziennego ze sztuczném jest w najwyższym stopniu szkodliwe dla oczu. Jeżeli dziecko to przebywać tu będzie, a tém bardziej uczyć się, może silnie nadwerężyć sobie wzrok i w ogóle zdrowie.

Co rzekłszy, odszedł; Otockie zaś pozostał jak w ziemię wryty, z wyrazem przerażenia na twarzy. Ani przez myśl mu nie przeszło, że sam przebywał tu we dnie i w nocy, śpiąc tuż przy żelaznym piecyku, wydającym z siebie wieczny swąd węgla i przypalonej olejnej farby, a godzinami całemi ślęcząc nad hotelowemi księgami, po których mieniły się i krzyżowały białe i żółte światła. Jego zdrowie! jego oczy! Były to dlań pyły tak marne, że bez wieści, ni śladu utonęły w morzu trwogi o nią, którem oblały go słowa lekarza.

Dnia tego Otockie rachował naprzód długo i starannie dochody swe i rozchody, a potem, w pierwszej wolnej chwili, udał się do Ryżyńskich i stoczył z panią Anielą długą i ożywioną rozmowę, wśród której pani Aniela podjęła się wynaleźć pensyą taką, co- by, jak najwyższą skalę naukową, łączyła z jak najlepiej ubezpieczoną moralnością i — jaknajmniejszymi wymaganiami piennicznymi. Na drugi szczególnież z pomiędzy trzech warunków tych, Otockie kładł nacisk szczególnież.

— Wolę, — mówił — aby mniej trochę umiała, lecz aby była dobrą i uczciwą...

I dodawał:

— Będę się starał, aby ludzie hojniej mię obdarzali. Muszę być usłużniejszym i śmielęj lęć im w oczy, niż dotąd.

Usłużność jednak przychodziła mu z trudnością, a *leżenie w oczy*, pomimo, że, zrzekłszy się dotychczasowych przesądów, siłił się na nie, było mu już wprost niemożliwém. Dla tego pensya, na którą Lusie chodzić zaczęła, była jedną z najtańszych; ile razy zaś Otockie gryźć się tém zdawał, pani Aniela pokazywała mu torbę sporych rozmiarów, do żołnierskiego tornistra podobną, a książkami wypchaną, którą dziewczynka, chodząc na pensyą i z pensyi, na plecach swych nosiła.

— Małoż-to tu jeszcze mądrości! — mówiła — po francuzku i po niemiecku nauczą ją wyśmienicie i trochę innych tam różnych nauk. Będzie już z tém mogła zarobić sobie na kawałek chleba, lekcye dając, a potem za mąż wyjdzie pewnie, bo ładna.

Odtąd, kaźdego wieczora, gdy tylko drzwi zamknęły się za odchodzącym do biura panem Marcellim, pani Aniela, wchodząc do bawialni z koszem swym, pełnym staręj bielizny i odzieży, zamiast, jak dawniej, wołać:

— Julek! ucz się! — wołała: Dzieci! ucicie się!

Uczyły się. Mała sypialnia, w której uprzednio stojące sprzęty przycisnęły się jedne do drugich, aby zrobić miejsce dla okrągłego stołu, pełnego zadrukowanych i zapisanych papierów, przez długie wieczorne godziny rozlegała się ich glosami. Przy świetle małej lampki, pod ścianami, nie żółtemi już, jak w bawialni, ale sinemi, siedziały one naprzeciw siebie i, przyciskając dłonie do uszu, żeby wzajem nie słyszeć swoich glosów, uczyły się.

Bez przerwy ni odpoczynku, jednym tchem jakby, dziewczynka mruczała:

— *Je rends, tu rend, il rend, nous rendons, vous rendez...*

A z drugiey strony stołu wtórowało jęj mruczenie chłopca:

— *Potens — potentis,*

Ingens — ingentis,

Diligens — diligentis...

Łacina jego męciła jęj francuzczyznę. Mocnież więc dłonie do uszu przyciskając, glosniej, niż wprzódy, powtarzała:

— *Je reęus, il reęut, nous recevons...*

W odpowiedź jakby, on także podnosił glos i monotownie, lecz donośnie już, prawil swoje:

— *Audax — audacis,*

Loquax — loquacis,

Verax — veracis,

Simplex — simplicis.

I tak trwało długo, długo, aż Lusia odrzucała książkę jedną, a natychmiast, otwierając i kładąc przed sobą inną, wołać zaczynała:

— *Ich bin, du bist, er ist, wir sind...*

Albo:

— *Ich werde, du wirst, er wird...*

Julek zaś, tonem takim, jak gdyby mówił szatanom, aby go odstąpili powtarzał:

— *Absum,*

Adsum,

Desum,

Insum,

Intersum!

A potem:

— *Audi — ebam,*

Audi — ebas,

Audi — ebat...

Audi — rem,

Audi — res,

Audi — ret...

Nie mruczeł już teraz, ale krzyczeli; oczy do sufitu wznosili i od czasu do czasu głęboko wzdychali. Dziewczynka od czasu do czasu przyciskała do czoła obie dłonie, co postawie jej nadawało wyraz rozpaczny; chłopiec chwycił się za włosy, czochrął je bez miłosierdzia, a nogami dokonywał ruchów najwyższego zniecierpliwienia. Zniecierpliwienie to nie przeszkadzało mu przechodzić od łaciny do greczyzny, i kiedy Lusia, odrzuciwszy książkę z konjugacją niemiecką, po tysiąc razy powtarzała i odmieniała części mowy języka wykładowego, Julek, szeroko rozwarte oczy wlepiając w twarz jej, zdawał się, z zapalczywością niesłychaną, do niej właśnie przemawiać mową Temistoklesa i Platona. Ogółem biorąc, w sinych ścianach pokoiku tego brzmiało języków pięć, z których ani jeden nie był tym, który z tego samego, co dzieci te, wyrósł gruntu. Pani Aniela, w sąsiedniej bawialni szyjąc, cerując i latając, podnosiła czasem głowę, rękę z igłą zawieszoną w powietrzu i w gwar ten wielojęzyczny wsłuchiwała się z uśmiechem radości i dumy. Nigdy, nigdy nie przypuszczała, aby tyle na raz przerozmaitych dźwięków i wyrazów zmieścić się mogło w głowie jednego człowieka; mieściło się jednak w głowie jej syna, bo i on także, lubo nie często, krzyczał w niebogłosy:

— *Je reçois, tu reçois, il reçoit...*

Albo:

— *Der Mensch, des Menschen, dem Menschen...*

A Lusia wtórowała mu wtedy:

— Ren, Rodan, Sekwana, Loara, Tyber, Tag, Elba, Odra, Gwadalkiwir!...

Niekiedy przecież gwar ten, który tak mile głaskał macierzyńską miłość i dumę pani Anieli, milkł nagle, a stawało się tak dla tego, że Julek, nagłym ruchem odrzucając od siebie książkę, z której tylko co się nauczył, że *fuisse* znaczy: byłbym, *fuero* — będę, i obie ręce topiąc we włosach, przez zaciśnięte zęby mówił:

— Niech ich wszyscy dyabli wezmą!

Lusia podnosiła też głowę z nad książek, prostowała szczupłą swą postać i głębokim odetchnieniem usiłowała wciągnąć do piersi swęj trochę powietrza, które w sinęj izdebce znajdowało się w ilości niesłychanie małej i w gatunku najgorszym.

— Chciałabym pochodzić trochę! — mówiła, poziewając szeroko.

— To pochodź, pochodź sobie! Któż ci przeszkadza? Miejsca na spacerzy zdaje się nie brak.

Mówiąc to, spoglądał na przestrzeń pomiędzy stołem a łózkami, tak ciasną, że drobna chyba mysz spacerować-by po niej mogła.

— W bawialni obszerniej — dodawał — cztery kroki wzdłuż i cztery w poprzek, ale wyjdź tam tylko, a zaraz posłyszysz: Dzieci! uczcie się!

Lusia wstawiała i, wiedzona instynktem, rozkazującym istocie żywej szukać obrony przeciw zaduszeniu się, otwierała u okna lufcik i z wyraźną rozkoszą wystawiała na ostry powiew zimy twarz, rozpaloną przez kilkogodzinne wysilenie umysłu i woli. Julek stawał

obok niej. Za oknem, które wychodziło na dziedziniec, spuszczały się w dół dachy domówstw, niższych od żółtej kamienicy, i na czarnem tle nocy rysowały się szare kominy, suchymi zarysy sterczące ku kawałkowi nieba, pod którym włókił się ciężki a nieskończony pochód deszczowych lub śniegowych chmur. Zmęczonemi oczyma wodzili oboje po dachach i kominach, albo, wznosząc w górę spojrzenia, zatrzymywali je na drobnych gwiazdach, które tu i ówdzie mdło i niestałe błyskały wśród rwących się w brudne szmaty obłoków. Czasem deszcz padał, a z za mgły wilgotnej, rzadkie, oświetlone okna przeciwnieległych domówstw mrugały łzawo, jak chore, lub zapłakane oczy.

— Ciekawam — zaczynała Lusia — co tam może być i kto tam żyje za temi oknami?

— Ot co może być! Takie same pewno żółte ściany, jak u nas, i tak samo pewno uczą się tam ludzie po łacinie, po grecku i dyabli wiedzą po jakimu; co się zaś tycze życia... to chyba kiedyś będzie ono...

Nie dokończył, bo z przyległej izdebki ozwał się głos pani Anieli:

— Otworzyliście tam okno! mieszkanie wyziębnie i jutro trzeba będzie furę drewna spalić! Zamknijcie zaraz i — uczcie się!

Julek z trzaskiem zamykał lufcik i, robiąc na Lusię tak straszne oczy, jakby ją żywcem chciał pożrzec, zdławionym głosem wymawiał:

— Uczmy się! No! uczmy się!

Siadali znowu przy stole i tym razem zaczęli już pisać, to jest: co chwila porywali dykcyonarze i, po mozolnym a długim przewracaniu kartek, zapisywali znalezione tłumaczenia niezrozumiałych im wyrazów.

Tłumaczyli. Po skończonej robocie, przed oczyma ich leżała mozaika wyrazów, najdziwniej powiązanych, w którą przez długie parę minut wpatrywali się oboje szeroko rozwartemi oczyma.

Czytali wykonane przez się prace, odczytywali je półgłosem, aż nakoniec jednocześnie podnieśli głowy, spojrzeli sobie w oczy i wybuchnęli głośnym śmiechem. W śmiechu tym, jakkolwiek wychodził on z ust dziecinnych, było coś gorzkiego.

— Zrozumiałaś — krótko zapytał Julek.

— Bardzo mało — z cicha odpowiedziała dziewczynka. — A ty?

— Prawie nic.

Udzieliwszy odpowiedzi tej, z wielką powagą łożył nogę na nogę, rozparł się na swém kulawém trochę krześle i z zastanowieniem, na sposób gdérliwych starców, głową trzęsąc, mówić zaczął:

— I powiedz mi, po co to wszystko? Czy ja kiedy będę żył na 1500 lub 760 lat przed Narodz. Chrystusa Pana? Przecież żyję teraz i chciałbym wiedzieć, co właściwie terazniejszy świat robi? A tu ani rusz. Nauczyciele — nie nauczyciele, i rodzice... nie nauczyciele. Od nikogo nie dowiesz się nic; sam wszystkiego dochodz; a jak czego nie dojdiesz, to chyba sobie w łeb palnij! i koniec!

Zamiast jednak dopuścić się tego okrutnego na osobę własną zamachu, zabierał się do rysowania karykatur, mających na celu przedstawienie nauczycieli szkolnych w najbardziej zabawnych i rozśmieszających postawach i sytuacjach; przyczém opowiadał towarzysze swój tysiączne anegdoty, dowodzące, że szacunek i miłość jego dla instytucji, z której brał światło wiedzy, równały się zeru i zastąpione były przez uczucia głuchego buntu i wzdárdliwój niechęci.

Miał lat piętnaście, gdy pewnego wieczora powiedział jój z miną taką, jakby przyszedł nakoniec do upragnionój dawno, a wielce cennój wiadomości:

— Wiesz, co dziś powiedział ten duży Michał? widziałaś go przecie, bom ci go na ulicy pokazywał; siódmoklassista przecie i pierwszy łacinnik! Otóż powiedział, że szkoły kończyć trzeba dla tego tylko, aby mózdz potém jakąkolwiek karierę zrobić; inaczej niktby z pewnością nie znoził tej męczarni. Ot co.

Odtąd wiedzieli już dobrze, dla czego istnieją i czém są szkoły. Określili też sobie wkrótce naturę i właściwości gniazda tego, w którém się chowali.

— Bo widzisz — mówił Julek — czémże jest ten nasz dom, w którym ludzie nic więcej nie robią, tylko gotują, jedzą, śpią i budzą się, dla tego, aby znowu gotować, jeść i spać? Ciemną piwnicą, w którój mieszkają trzy siostry: bięda, nuda i krzywda!

— Nuda... bięda... — zwolna powtórzyła Lusia — to prawda... ale dla czego krzywda?

— A jakże! — tłumaczył chłopiec — dla czegoż mój ojciec przez całe życie, jak koń w młynie, ciągle jedno i jedno koło depce... Zdaje mi się, że zasłużył na to, aby pójść na deptak jaki ładniejszy i wygodniejszy...

Lusia z zamyśleniem, lecz też i z gwałtownością pewną, ręce splotła.

— O Boże! — zawołała — i ja, i mój dziadunio, powinniśmy też być w Otoku... gdzie biały, duży dom stoi...

Tu, ze szczególnym uśmiechem, w którym swawola łączyła się z goryczą, dodała:

— Okna otwierać można, bo jest czém w piecach palić!...

— Otóż widzisz, — kończył Julek — widzisz i wiesz, że jest na świecie krzywda. A ja ci powiadam, że ona, oprócz biedy i nudy, ma jedną jeszcze siostrę: złość. Zły jestem, jak sto dyabłów!

— A mnie smutno! — mówiła Lusia, bladawą twarz wspierając na małej dłoni.

— Boś baba! — wzgardliwie rzucił Julek; ale po chwili z przekąsem zapytywał:

— Czy myślisz, że mnie wesoło? Ot tém tylko pocieszam się, że kiedyś, kiedyś, wylecę ztąd w świat szeroki, widny, ludny i zobaczycie tu mię tak, jak swoje uszy bez lustra!

Wylot ten przecież później miał nastąpić, niż Julek się spodziewał; bo wkrótce, po dostaniu promocji do klasy szóstej, przyszedł on do domu z wyrazem wielkiego rozgniewania i zrozpaczenia na twarzy.

— Co ci to? — spojrzawszy nań, zawołała Lusia.

Powiedział jój:

— Że do siedmiu istniejących dotąd klas dodano jeszcze ósmą, i że nic mu na świecie nie pozostaje, jak wyjść za miasto, i w pierwszym lepszym lesie powiesić się na pierwszym lepszym drzewie.

W ciemnej rozpaczy tój zostawał on przez dni kilka; poczem jednak, ze zdwojoną zda się żarliwością wziął się do pracy. Rzecz dziwna bowiem; dzieci te, tak srodze wyrzekające na udzielanie im nauki, i tak wzgardliwie zapatrujące się na tych, od których je otrzymywały, były gorliwie niemal namiętnie pracowitemi. Wśród suchych formuł i wyrazów, które pojęcia ich i wyobraźni nie mówiły nic, a których związku z życiem, trudnego do spostrzeżenia, nie ukazywał im nikt, w zmordowaniu fizycznym, gdy dusiły się prawie w siniej izdebce i rozpalone twarze przyciskały do zimnej szyby okna; nie odstępowała ich ani na chwilę i wciąż pchała naprzód namiętna żądza innego życia, nadzieja przyszłości, na którą zarabiała sobie tą nielubioną i wyśmiewaną przez się pracą. Były to nieustanne wewnętrzne walki, których nikt nie spostrzegał; lecz, które sprawiały, że czoła dzieci tych były blade i chmurne, usta milczące, śmiech rzadki, cichy i smutny raczej, niż wesoły.

Myliłby się ten, ktoby mniemał, że obecność dwóch tych młodziutkich istot napełniała gniazdo, w którym wzrastały one, śpiewem, śmiechem, szczebiotem, będącemi, według wyobrażeń ogólnych, nieodłącznemi atrybutami gniazd wszelkich. Julek i Lusia śmieli się rzadko, a nie śpiewali i nie szczebiotali nigdy. W jedynej, wolnej od nauki, porze dnia, pomiędzy obiadem a zapaleniem lampki, siedząc przy oknie i patrząc na spływające w dół morze dachów, albo na suche linie kominów i połamanych gzęmsów, podobni stawali się do dwu ptaków, którym warstwa zgęszczonego powietrza ocieżyła skrzydła i które, osiadłszy na piaszczystej ławie, tęsknym wzrokiem wypatrują źdźbła zieleni, lub promyka słońca. Czasem przysuwali twarze blisko do okna bawialni i dojrzyć usiłowali ulicę, ciągnącą się w dalekim dole pstrym i ruchomym szlakiem. Nie widzieli jednak nic, bo oddalenie zacierniało barwy i linie, sprowadzając postacie ludzkie do rozmiarów lalek; a jedyne głosami, które zamtąd dolatywały ich uszu, był głuchy, podziemny jakby, grzmot kół, i niekiedy tony katarynki, które, topiąc się i rwąc w powietrzu, dochodziły tu oderwanemi, przeciągłemi jęki.

Chmurność ta była piętnem, złożonem na czołach ich przez atmosferę, wśród której wzrastały ich duchy, przez składające atmosferę tę pierwiastki bólu, znużenia, powszedniej troski i grobowej ciszy. Pierwiastki te istniały w zielonej wiosce, w której Lusia otrzymała pierwsze wrażenia sierociego życia, w oszkolnej izdebce odźwiernego, w żółtych ścianach kancelisty i dalej jeszcze, dalej jeszcze, dalej, pośród wrzaskliwych nawet ulic miejskich, w wielkich salach, będących zbiornikami nauki, na polach rozległych, w przestrzeni pełnej liści, które, od drzew swych oderwane, tułały się błędne, lub osiadały trwożnie i nisko, nisko przy zrytęj przez burzę ziemi...

Drugą wybitną cechą dzieci tych była — ciekawość, chciwa, namiętna, nienasycona ciekawość świata i spraw jego, ludzi i ich stosunków, życia, jego cierpienie, radości, grzechów i cnót. Uczucie to przynosiły z sobą do domu ze szkoły, z ulicy; rozniecały je w nich koleżeńskie rozmowy, przelotnie zasłyszane zdania, gwałtowny nakoniec popęd ku wszystkiemu, co istniało po-za żółtymi i sinymi ścianami ich gniazda. Zadowolona żądza tej, wwaniej w ich wnętrza przez niedostrzeżone, lecz nieprzeparowane prądy czasu, szukały one z razu w książkach szkolnych. Do każdej nieznannej jeszcze, nieprzeczytanej karty książek tych rzucały się ochotnie, chciwie niemal, pochłaniały ją szybko, i, zawiedzione, sarkają z cicha, opuszczając ręce. Potem jednak, tak bardzo upragnione im, wieści z szerokiego świata i o nim, spływać na nie zaczęły obficie i ze stron różnych. Kiedy Julek wracał ze szkoły, Lusią, pierwsi nieco odeń przybywająca do domu, zrywała się z siedzenia, z żywością ruchów, zupełnie u niej niezwykłych, podbiegała ku niemu i z cicha, lecz żywo, pytała:

— Cóż? jest co? przyniosłeś?

Jeżeli odpowiedź była twierdzącą, oboje już przez resztę dnia zdradzali szczególne u nich, gorączkowe nieco, ożywienie; mówili więcej, niż kiedy; w obecności pani Anieli dawali sobie oczyma znaki porozumienia; a wieczorem, w siniej izdebce, przy okrągłym stole siedząc, uczyli się z roztargnieniem i trudnością widoczną. Kiedy nakoniec pan Marcelli wrócił z biura, głos pani Anieli, czytającej gazetę, przebrzmiał, a natomiast rozległy się głośne oddechy dwóch głęboko uspijonych osób; Lusią zrywała się z pościeli, w białej odzieży, niedbale zarzuconej na szczupłe ramiona, bosem najczęściiej stopy, cicho, jak mała kotka, przebiegała bawialnią, wsuwała się do kuchenki i starannie, a bez najlżejszego szelestu, drzwi za sobą zamykała.

— Śpią już? — zapytywał Julek.

— Aż chrapią! — z cichym chichotem odpowiadała dziewczyna.

Wtedy zrzucił on z tapczanika szczupłą swą pościel, stawiał na nim zapaloną lampkę, i ze starej, małej skrzynki, od której klucz nosił przy sobie, wydobywał podarte najczęściej książki, zszarżane broszury, wymięte, zbrudzone dzienniki różnych rozmiarów i formatów. Było ich czasem tak wiele, że kryły się prawie pod niemi szare i białe paski osłaniającego tapczanika drelichu.

Przestali już prawie być dziećmi. On był wysmukłym, zgrabnym młodzieńcem, którego szczupłość i wiotkość przypominała roślinę wybiegłą i chwiejną. Ona rosła powoli i była małą, lecz obok wpadłej piersi i chudych ramion, które znamionowały podlotka, przy lnianych włosach swych, miała błądność gorącą i nieco przywiedłą, po której przebiegały błyski lotnych myśli i drgnienia namiętnych wzruszeń. Na niskich stołkach, albo na chropowatych deskach podłogi, przy tapczaniku siedząc, pochwytywali książki z kartami, wypadającymi ze zszarżanej oprawy, albo zmięte i śladami mnóstwa rąk poznaczone dzienniki, i czytali, — to jest: jedno z nich czytało przytłumionym głosem, a drugie, z twarzą, opartą na dłoni, rozżarzone oczy w twarz czytającego, jak w tęczę, wlepiając, słuchało. Ze szpargaliów tych i świstków, szeleszczących w ich dłoniach, w gorące głowy ich i śpiesznie oddychające piersi lał się deszcz nazw, określeń, zdań, hasel, pomysłów i marzeń. Zkąd deszcz ten powstawał? Jak zwykle bywa. Na powietrzne warstwy, które sprawiły powstanie jego, złożyły się najrozmaitsze i najsprzeczniejsze sobie pierwiastki: oddechy silnych, lub nawet bohaterskich piersi, i chorobliwe, suchotnicze wyziewy; ożywcze wonie leczniczych roślin i gorzkie soki trucizn; potężne tchnienia, owiewające szczyty, i zgnile zarazki błotnistych nizin. Były tam zdania, sądy i wieści o niebie i ziemi, naturze i Bogu, o człowieku i przeznaczeniu jego; były traktaty i wykłady z dziedzin nauk różnych, romanse i opowieści na tle stosunków i kolei wszelkich, polemiczne spory i rozprawy, fanatyzmem różnostronnym natchnione zlorzeczenia lub apoteozy. A wszystko, wszystko to przybywało tu bez naturalnego początku i możliwego końca swego, w liniach połamanych, w kalekich kształtach, w obrazach bez głębi i światłocieniów, w cząstkach, które, oderwane od swych całości, udawały, że są światem, będąc istotnie bujającymi tylko w przestrzeni jego pyłkami. Nic to! przyglądając się szerokiej mozaice tej o jaskrawych i zawikłanych wzorach, dzieci te doświadczały takiego uszczęśliwienia, z jakim uczony, zamknięty w ciemnej komnacie, wita zjawiające się przed nim, w postaci tęczowego snopu, widmo słoneczne. Przed niemi, w kuchence z niskim sufitem, czarnym od okopcenia

piecem i trochę starych gratów, rzucających długie cienie na opylone ściany, stubarwne i promieniste stawało — widmo wiedzy. Przystawali czytać, zamyślali się, płonący wzrok wlepiali we wspaniałe widmo.

W głowach ich, jak ptaki o niewprawnych do latania skrzydłach, ważyły się tysiączne pytania. Wierzyć — nie wierzyć? Kochać — nie kochać? rozum, czy uczucie? obowiązek, czy swoboda? Poświęcenie, czy egoizm? Uwielbienie, czy szyderstwo? Szczęście dla siebie, czy męczeństwo za dobro świata? Co z tego wszystkiego prawdziwszym jest i wyższym?

— Co prawdziwszym? — pytał chłopiec.

— Co wyższym? — zapytywała dziewczyna.

On przedewszystkiē szukał drogokazów, ona — skrzydeł. Bywały noce, w których zdawało się im, że już znaleźli to, czego szukali. On naprzykład zadecydował, że rozum jest tak wszechpotężną dźwignią świata, iż uczucie ze spraw i stosunków ludzkich wytrącić może i powinien; lub, że osobiste, jakimbydz kosztem zdobyte, szczęście, może i powinno być jedynym celem człowieczego życia. Ję znowu żal się robiło zgnębionego uczucia, którego głuche, lecz potężne, zaczyny, czuła może w swęj piersi, a ku męczeństwu, ku wielkiemu jakiemuś męczeństwu, które bucha pod niebo ofiarnym ogniem i dymem, uczuwała nieokreślony pociąg. Sprzeczałi się więc z sobą; sprzeczałi się czasem zawzięcie, długo, a tak żywo, że chłopiec nazywał dziewczynę sentymentalną i płacziwą babą, a ona go samolubem i zarozumialcem. Szli jednak spać oboje, uspokojeni i dumni z siebie samych. On, zasypiając, myślał, że wie już, jak myśleć i czynić i ku czemu dążyć w przyszłości; ję śniło się, że na śnieżnym rumaku leci pod niebo z rycerzem „odważnym i smutnym”, który, wskazując ję jakąś gwiazdę wielką, mówi: „spłoniesz w nięj, lecz świat zbawisz!”

Nazajutrz jednak zasiadali przy tapczaniku swym, niespokojni znowu, i z pewnym wstydem podnosili na siebie nieśmiałe oczy.

— Więsz? — zaczynał chłopiec — rozmyśliłem się; być może, żem się wczoraj mylił...

A ona odpowiadała z cicha:

— Ja nie wiem; wczoraj zdawało mi się, że najszczęśliwszą byłabym, gdybym kogoś, lub coś, bardzo mocno kochała i gdybym umrzeć mogła za szczęście i dobro ludzkie. Ale dziś... myślę, że chcę czegoś więcj, niż kochania, i że... oddawanie się na męczeństwo jest, jak tyle innych rzeczy, skutkiem — przesądów.

Chmurnie i w milczeniu patrzali na szpargały swe i świstki, po tapczanie rozrzucone. Julek zrywał się z nizkiego siedzenia swego i ruchem, do którego od dzieciństwa był nawykł, obu dłońmi strzępiąc i w górę podnosząc gęste swe ciemne włosy, wołał:

— Jednakże dla czego to tak? Dla czego my, ja i ty, tak bardzo pragniemy tego, o co inni nie dbają? szukamy tego, o czēm inni ani myślą?... dla czego nie żyjemy sobie tak, jak inni? Mój Boże! ten piękny Jaś, naprzykład, koleżka mój, trefi sobie wąsiki, zapieka włosy u fryzjera, umizga się do panienek, tańczy na wieczorkach i — szczęśliwy! Ani dba o to, jak tam ludzie na świecie żyją, co myślą, i jak żyć, w co wierzyć, o co starać się trzeba! Albo Kostuś Wilski... z piątęj klasy wyszedł, na mająteczku ojcowskim siadł, słusznym obywatelem już jest, patrzeć tylko, jak się ożeni, a je... strach! jak najęty! w puchach się wylega i — szczęśliwy!... Albo duży Michał, ten, co to więsz...

— To prawda! to prawda! — przerywała Lusia, u nas to samo: są takie panny, które o niczēm więcj nie myślą i nie mówią, tylko o strojach i o wyjściu za mąż. Ja nie; po głowie chodzi mi wciąż niewiedzić co... smutno mi niewiedzić czego i takbym chciała wszystko, wszystko widzić, a czasem śpiewać... leciēć wysoko i... śpiewać!

Tu wsparła twarz na dłoni i zanuciła:

Maj właśnie drzewa i kwiaty rozwijał,
Księżyc w noc cichą świecił roztoczony...

Urwała, podniosła głowę i zapytała:

— Dla czego to tak?

Zamyśleni, zasiadają znowu przy tapczaniku na niziutkim stołku, Julek odpowiadał:

— Ot dla czego! takimi już urodziłiśmy się... i koniec!

Świat przedstawiał się im zagadkowo, w dwoistej postaci piekła i raju. Zależało to od wrażeń, którymi tej lub owej nocy wionęło na nich towarzyszące nocnym pracom ich i zabawom widmo. Julek zrywał się z siedzenia, z zapalem wołając:

— Nie! tak zawsze być nie może! Jest na świecie postęp, możność doskonałości i szczęścia... tylko, jak i co czynić, aby je zdobywać dla siebie i innych?

— Jak i co? — Naksztalt echa powtarzało blade dziewczę, z twarzą w zadumie wspartą na dłoni, a gorejącym okiem, wpatrzonym w ciemno-żółte płomyki, które światło lampy krzesало w szybie okna. Płomyki te, których zapytywać się zdawała o słowo zagadek, pracujących w jej głowie, były — widmami świata.

Wten sposób spędzali oni bardzo często długie zimowe i jesienne noce, głusi już teraz na wiośniane okrzyki kukułki, rozlegające się za zamkniętymi drzwiami małej bawialni, od czasu do czasu za to drgając nerwowo, gdy uszu ich dolatywały przesywające a ponure gwizdania nocnych stróżów. Niekiedy późno po północy czuwali głód. Wtedy Julek nastawiał samowar i wyjmował ze skrzynki swój odrobinę, przechowywanych tam starannie, herbaty i cukru. Gospodarując, śmieli się czasem do siebie z cicha i ostrożnie, ze spojrzzeniami, rzucanymi na drzwi zamknięte. Lecz nieśmiała wesołość ta nie istniała wcale, jeżeli pic mieli herbatę nie z głodu, ale dla odpędzenia snu, który przeszkadzał im w odczytaniu jednej z podartych książeczek, lub zmiętych szmat dziennika. Dla nasycenia głodu, zarówno jak dla pochwylenia za kraj szaty olśniewającego ich widma, poili się ciemnym mocnym płynem, który w żyły ich wlewał, rozmarzający mózg i wyprężający nerwy, pierwiastek narkotyku.

To też bywały dni, w których wyglądali oboje tak, jak gdyby noc im przeszła w ciężkich bólach lub bezpamiętnym szale. Do zwykłej chmurności ich przybywała chorobliwość i czyniła ich podobnymi do roślin owych, które pod skwarem słońca płoną więdnącą purpurą. Było to tak widocznym i nawet uderzającym, że raz, przy obiedzie, pan Marcelli wpatrzył się w syna obojętnymi zwykle oczyma i z żywością, nigdy prawie nie bywałą, zapytał:

— Co ci to?

— Nic, ojcz! — odpowiedział Julek głosem, pełnym zdziwienia; nie przywykł był bowiem do zapytań ojcowskich.

Pan Marcelli popatrzył z kolei na Lusię i rzekł znowu:

— I tej też coś być musi.

Potem już nic nie mówił, tylko, po skończonym obiedzie, zamiast udać się do sypialni na zwykły spoczynek, skinął ku żonie, aby usiadła przy nim i zapytał z cicha:

— Co im takiego być może?

Pani Aniela nic wcale nie rozumiała.

— Upatrujesz coś, Marcelli! — rzekła — dzieci są tak, jak zwykle, zdrowe, i uczą się dobrze.

Z powątpiewaniem wstrząsnął głową.

— Nie, nie! Źle bardzo wyglądają oboje, a przytém, czy ty uważasz, że nie śmieją się nigdy, a mówią tak prawie mało, jak ja. Trzeba, Anielko, abyś zwróciła na nich pilną uwagę: co robią? Czém się bawią? Co ich zasmucać, albo co im szkodzić może?

Panią Anielę ogarnął żal wielki i szczery.

— O mój Marcelli! — zawołała — zdaje się, jakbyś nie wierzył, że Julek jest całym szczęściem mojem, i że dla tej biednej dziewczynki także robię wszystko co mogę i powinnam. Nieustannie przecie są one pod okiem mojem. Pilnuję ich, karmię, jak mogę najlepiej, przestrzegam, do nauki napędzam, oszywam, własnymi rękoma ubieram, gdy wychodzą z domu. Cóż więc nad to uczynić mogę?

Uśmiechała się mówiąc to, ze zwyczaju, dla złagodzenia słów swych, które się jej wydawały zbyt ostremi; lecz usta jej drżały z żalu, a błękitne zmęczone oczy zachodziły łzami.

— Może zanadto męczą się nauką? — z cicha zauważył pan Marcelli.

Pani Aniela spojrzała na męża z za łez, ale ze szczególną powagą i ze szczególną też posęnością wymówiła.

— Marcelli! ty wiesz, ty sam najlepiej wiesz, jak ciężkiem jest życie — bez nauki.

Spojrzał na nią, zdziwiony może powagą i niemą surowością jej głosu, a dostrzegłszy na tej łagodnej twarzy, która dotąd same tylko dla niego miała uśmiechy, bolesne wzruszenie, w milczeniu już pocałował jej rękę, wziął czapkę ze srebrną gwiazdką i wyszedł na miasto. Skierował się wprost ku hotelowi Wszech-Krajów i po chwili wchodził do oszklonej izdebki szwajcara.

Otoci, podnosząc głowę z nad ksiąg rachunkowych, uprzejmie, lecz z pewnym odzieniem trwogi, powitał przybyłego:

— Gość z pana rzadki. Czy tam czasem, broń Boże, co z Lusią...

— Właściwie, — siadając na stołku zaczął pan Marcelli, — właściwie nic nowego, ale... ale chciałem zapytać pana, czyś pan nie zauważał we wnuczce swój i w synie moim także czegoś... czegoś... czy ja wiem? Ja, panie, bardzo jestem zajęty, trochę zmęczony i rzadko bywam w domu. Nie wiem, co to jest i dla czego, ale jakoś oni nie są tak, jak być powinny. Niby chorzy... smutni czegoś ciągle i wyglądają tak, jakby nie dziećmi byli...

Umilkł. Otoci patrzył na niego wzrokiem pojętnym i bardzo smutnym.

— Nie powiedziałeś mi pan nic nowego, — zaczął po chwili, — syna pana znam niewiele; ale Lusia... złota dziewczynka moja, biedna!

— Dla czego? — z niejaką żywością zapytał pan Marcelli.

Pod długim, białym wąsem, gorzki uśmiech przebiegł usta odźwiernego.

— Powiem tak, jak pan, — ozwał się z cicha — czy ja wiem? Jestem bardzo zajęty, trochę zmęczony i... rzadko ją widuję. Państwo macie syna przy sobie, a zgadnąć nie możecie, co mu jest. Cóż ja? Przychodzi ona do mnie, od czasu do czasu pomiędzy lekcjami a uczeniem się lekcyi, na chwilę... widzę, że blade, że mi źle rośnie, że smutna i skryta, a otworzyć przed sobą jej serca nie mam sposobu. Czasem zrażam ją nawet trochę, bywam ponury, w pewne szczególniej rocznice moje; a jej-by trzeba kogoś pobłażliwego i wesołego, kogoś, coby młode myśli jej i uczucia rozumiał i podzielał. Zresztą, na wszystko, panie, na wszystko czasu trzeba, a ja go nie mam nic. Pełnię gorliwie swoje i nie swoje, byleby tylko trzymać się tu i ją wychować...

Skończył i pochylił głowę nisko z wyrazem zgnębienia, z którym w szczególnie sposób sprzeczał się energiczny, gwałtowny nawet, ruch ręki, targającej białego wąsa.

Prosty i sztywny Ryżyński podniósł się z siedzenia. Szwajcar wstał także, a gdy przez dość długą chwilę stali naprzeciw siebie, z niemem jakby pytaniem patrząc sobie w twarze, światło gazowego płomyka błyskało, drgało i śmiało się w pozłacanych i posrebrzanych guzikach ich ubrania.

— Więc — zaczął jeszcze Ryżyński — więc pan nic nam nie radzisz... i nic dla wnuczki swój nie zdecydujesz się uczynić, tak, jak ja namyślić się nie mogę, co zrobić dla syna...

Uginając się, jakby pod ciężarem pytań tych, Otoci padł na krzesło i, czoło ukrywwszy w dłoniach, zawołał:

— Co ja mam, co ja mogę uczynić dla niój?

Potem podniósł głowę i wznosząc wysoko oczy, jakby tam w górze oblicza lub wizerunku czyjegós szukał, ciężkim szeptem wymówił:

— Romku! biedny mój Romku! co ja dla dziecka twego zrobić więcej mogę!

Pani Aniela daleko mniej od obu mężczyzn brała do serca złe wyglądanie syna i wychowanki. O północy, rzucając zaoszczędzoną złotówkę do skarbonki Julka, rzekła do męża:

— Daremnie martwisz się, Marcelli, a widzę, że martwisz się, bo nawet gazeta rozzerwać cię dziś nie mogła. Dzieci pracują i dla tego pewnie są czasem mizerne i trochę jakby zmęczone. Inaczej przecież być nie może? A tyż nie pracujesz przez całe życie, jak wół w pługu? I ja także nie próżnuję; a jednak, ot, dożyliśmy lat naszych. Zresztą, za rok już Julek skończy gimnazyum... potem pięć lat tylko uniwersytetu i będzie z niego — człowiek. Zostanie doktorem, będzie miał praktykę ogromną i, choć bez pracy pewnie się nie obejdzie i wtedy, to jednak wcale go ona tak męczyć nie będzie. Odpocznie sobie... a kto wie? może i my przy nim odpoczniemy trochę.

Przy ostatnich słowach zgasła lampkę, a w minutę potem już chrapała. Czy pan Marcelli był uspokojony temi słowami? nie wiadomo. To tylko pewna, że w najbliższą niedzielę nie poszedł do kolegów na proferansa, ale wieczór cały przesiedział z żoną i synem, usiłując zawiązać z tym ostatnim rozmowę, która nie szła jakoś. Po prostu nie

przywykli byli przestawać z sobą. Zamieniali się krótkimi zapytaniami i odpowiedziami, przy czym ojciec wydawał się zmieszany, a syn znudzony. Skończyło się na tym, że Julek przyniósł z kuchenki książkę jakąś w szarej oprawie, z wypadającymi kartami i czytać ją zaczął. Pan Marcelli wyciągnął po książkę długą swą, bladą rękę.

— Co to czytasz, Julku? — zapytał.

— Socylogią — odparł chłopak, z miną człowieka, który, wymawiając słowo jakieś, pewnym jest, że go słuchacze nie rozumieją. Jakoż pan Marcelli nie zupełnie jasne miał pojęcie o znaczeniu słowa: socylogia. Przynętem książka była niemiecka i przedstawiała dlań zbiór niepojętych a dziwacznie wyglądających gzygzaków. Odsunął też ją ku synowi ruchem zdradzającym zniechęcenie i, zamyśliwszy się, ponuro patrzył w ziemię. Pani Aniela, która w niedzielne wieczory nie oddawała się szyciu i cerowaniu, myjąc w kuchence szklanki i składając starannie bieliznę stołową, gwarzyła z siedzącą na tapczaniku sąsiadką o cenach mięsa i jaj, o strasznym błocie, które zrana zalegało rynek, o wzrastającej drożyznie obuwia. Lusła wieczór ten, jak i najczęściej wieczory niedzielne, przepędzała u dziadka. Tym razem znalazła go w usposobieniu takim, jakie zawsze sprawiało na niej przykre wrażenie. Mówił mało, i albo szklannym wzrokiem patrzył w przestrzeń, albo wpatrywał się w nią bystro i smutnie. Takim widywała go dotąd tylko w pewne dni roku, o których wiedziała, że są rocznicami, przywodzącymi mu przed pamięć szczególniej wesołości lub bolesne wypadki jego życia. Dziś jednak nie opowiadał jej, jak zwykle w dniach podobnych bywało, ani o godzinie, w której otrzymał tam... tam daleko... wieść o jego śmierci, ani o pięknym Otoku, ani o swęj długiej podróży... Nie była to więc rocznica żadna. Jednak, po półgodzinnej nieobecności, w czasie której przyjmował przybyłych z pociągu gości, wróciwszy do izdebki i siadając przy biurku, nagle trochę zapytał:

— Czegoś ty taka mizerna? i czemu nic nie mówisz do mnie? Jeżeli chora jesteś, albo ci brak czego... możesz przecie powiedzieć mi o tym, a ja... ja bym ci nieba chciał przychylić... Cóż?...

— Nie jestem chora i niczego mi nie brak — odpowiedziała.

Rzucił się na krzesło gniewnie trochę.

— Skryta jesteś — zaczął, lecz urwał nagle, jakby mu surowe wyrazy, do niej skierowane, przez usta przejść nie mogły. Natomiast wpatrzył się w nią znowu bystro i mówił:

— Jesteś sierotą, bo choć masz mnie, cóż ja? tyle tylko, że cię żywić i jaką-taką edukację dawać ci mogę. Wielu też rzeczy i fizycznie i moralnie braknąć ci musi. Dla tego, dziecko moje, udawaj się jak najczęściej do Ojca sierot wszystkich... módl się...

Tu urwał nagle, bo po drobnych ustach dziewczyny przeleciał szybko powstrzymywany uśmiech.. Zerwał się z krzesła, otworzył usta, jakby dla wypowiedzenia gwałtownego jakiegoś słowa; lecz, powściągając się, podniósł w górę ramiona i drżącymi rękoma zaczął poprawiać, zwiększać i umniejszać płomyk gazowy. Walczył widocznie z gniewnym uniesieniem, od którego pierś mu dyszała mocno, a srebrne guziki granatowego surduta podnosiły się i opadały szybko. Nie; z dzieckiem „biednego Romka”, z tą jedyną gwiazdą oczu swoich, obejść się źle nie mógł, nie chciał... To też zaprzestał roboty około gazowego różka i usiadł na stołku swym; wtedy dopiero, gdy się uspokoił nieco, targając zlekka wężem, głosem, w którym drżał z razu tłumiony jeszcze gniew, a który potem stawał się monotonnym i gderliwym, upominać ją zaczął o zapominanie modlitwy, o traceniu wiary religijnej, o czytaniu złych książek, które dzieciom przewracają w głowach... Ona słuchała w milczeniu, w zwyczajnej sobie zadumanej postawie, cierpliwie i pokornie z pozoru, lecz od chwili do chwili nieruchome jej rysy oblewał gorący rumieniec, a z ciemnych źrenic strzelały szyderskie błyski. Widać było, że burzyła się wewnątrz. On tego nie spostrzegając, i jak gniew jego przeszedł w gderanie, tak stopniowo to ostatnie stopiło się w rozrzewnieniu. Pochwycił za obie ręce i, przyciągając ją ku sobie, zapytał:

— Nie gniewasz się, że tak gderam na ciebie? Kochasz trochę twego starego, nieznośnego dziadka?

Być może, iż, gdy silnym ramieniem wiotką kibić jej przyciskał do swęj piersi, uczuła, jak pod liberyjnym surdudem serce jego uderzało mocno i gorąco; być może, iż przez głowę przemknęła jej myśl, że dla niej to, dla niej tylko, przyobłókl się on w surdut ten, taki twardy i brzydki, jak niewola i służalstwo; bo gdy, patrząc w twarz jej, powtórzył pytanie:

— Czy kochasz trochę twego starego, nieznośnego dziadka?

Podniosła powieki, wymówiła:

— Bardzo, bardzo! — i ze łzami na rzęsach, ramiona swe zarzuciła mu na szyję.

Wtedy, z krzykiem radości, porwał ją w objęcia, posadził, jak małe dziecko, na swych kolanach, i okrywając ją pocałunkami, mówić, raczej szeptać, zaczął:

— Dziecko moje! może ja i wiem, czego tobie potrzeba! Potrzeba tobie do oddychania zdrowego, świeżego powietrza, przestrzeni do biegania, drzew i kwiatów, któreby odświeżyły młode twe oczy, wpatrujące się ciągle w czarne litery książek... Potrzeba tobie czulej matki, któraby cię pocałunkiem budziła i usypiała, i rozumnego ojca, któryby wiedział i rozumiał, co myślisz, jak czujesz, a myśli twe i uczucia mądrze, łagodnie, od różnych manowców tego świata odprowadzać mógł... Wiem... wiem wszystko, lecz cóż uczynić mogę... bezdomny biedak, tém tylko zajęty, aby pan Leonid Igorowicz za drzwi mnie ztąd nie wyrzucił!...

Lusia całowała go w usta i w siwe włosy.

— Kocham cię, dziaduniu — mówiła — wiem co czynisz dla mnie... kocham cię i żałuję, ale... nie mogę być inną!

Nie mogła istotnie. Uczucia jój i myśli były wrzątkiem, pomimowoli jój i wiedzy, często wylewającym się na zewnątrz, Otocki spostrzegł to tego samego jeszcze wieczora. Pomimo, że była już prawie dorosłą, odprowadzając ją w późne wieczory do mieszkania Ryżyńskich, zachował on zwyczaj trzymania jój za rękę, tak, jak to czynił w latach jój dzieciństwa. Szli więc tak przez ulice miasta, dłoń w dłoni, milcząc, aż weszli na mały placzyk pusty i cichy, pośród którego kiedyś, kiedyś, mała Lusia zatrzymywała się, aby pokazać dziadkowi zjawiające się jój pod sklepieniem nieba widziadło rycerza: „na śnieżnym koniu i w błyszczącej zbroi.” I teraz tarcza księżycy stała pośród szafirów, a nad nią białe rozwiewne obłoki sunęły lekkim, długim korowodem. I teraz zdawały się tam szeleścić srebrne skrzydła, a z pod hełmów złocistych pochylać się ku ziemi „odważne i smutne” oblicza. Otocki spojrzał ku górze, chciał widocznie powiedzieć coś, a nie śmiał, lękając się może, aby znowu pomiędzy sobą a gwiazdą swych oczu nie wywołać chmury. Jednak do mówienia skłaniała go widocznie gorzka żądza dowiedzenia się prawdy, choćby bolesnej, albo też nadzieja, że będzie mu ona pociechą i uspokojeniem. Wyciągniętym w górę palcem wskazał igrające dokoła księżycy obłoki i z drżącym uśmiechem na ustach zapytał:

— Lusi! a czy teraz widzisz tam jeszcze czasem... rycerza z Cecorskich pól?

Z okrutną nierozważą młodości i z dumą tą, z którą młodość popisuje się tém, co uważa za swe zdobycze, zaśmiała się z cicha i odpowiedziała prędko:

— O, nie! Odkąd zaczęłam myśleć o rzeczach daleko ważniejszych, Cecorskie pola i ich rycerze całkiem zajmować mię przestały!

Nagle wypuścił rękę jój ze swój dłoni. Nie powiedział nic, tylko, gdy stanęli u wejścia do żółtej kamienicy, zamiast, jak zwykle bywało, z troskliwością niezmierną towarzyszyć jój na ciemnych wschodach, aż do samych drzwi Ryżyńskich, popchnął ją lekko ku wejściu, głucho i krótko mówiąc:

— Idź!

Po raz pierwszy w życiu rozstali się pokluceni z sobą, z wzajemną ku sobie urazą w sercu. Ona wstępowała po ciemnych i zawrotnych wschodach sama jedna, powoli, snując w głowie gorzkie i niechętne myśli. On, śpiesznym i gwałtownym krokiem przebył placzyk, lecz nagle stanął i, uderzając się w czoło, zawołał:

— Co ja zrobiłem! puściłem ją samą na takie złe wschody... jeszcze upadnie!

Odtąd w Otockim zachodzić zaczęły zmiany widoczne. Na piękną, silną i rzeźką zawsze powierzchowność jego wybijały się już niekiedy oznaki starzenia się i sposepnienia. Były chwile, w których zdawać się mogło, że na myśl jakąś, pojawiającą się w głowie jego, ręce mu opadały w zniechęceniu, czy nie przewyciężonym smutku. Zresztą, broniony dotąd przez wewnętrzne bodźce swe i pociechy od fizycznego zniedołężnienia, teraz dopiero uczuwać zaczął dolegliwie owę, z podróży przywiezioną, niemoc nogi, tak, że niekiedy poprzedał na wschodach gości hotelowych krokiem trudnym i powłuczystym, na który pan Leonid Igorowicz niechętnie spoglądać zaczynał, znajdując, że admiirowana przezeń dystynkcyja ruchów Otockiego podobną staje się do niedołęztwa. Upadał téż na wzroku, co przypisać było można wieloletniemu przebywaniu i pracowaniu w izdebce napelnionój

mieszaniną dziennego i sztucznego światła. Względem wnuczki bywał teraz niecierpliw, nieufny, badawczy. W usposobieniu jej było coś, co go wciąż i srodze niepokoiło, a pewne uśmiechy jej, jakkolwiek starała się ona je powściągnąć, i wyrazy, pomimowoli często z ust jej wylatujące, miały szczególną własność drażnienia go i wywoływania w nim gniewnych uniesień. Tym ostatnim jednak nie poddawał się nigdy i można je było odgadnąć tylko po gwałtowności ruchu, jakim zrywał się ze stołka, i po szczególnym zapale, z jakim drżącymi rękoma, bez żadnej zresztą widocznej potrzeby, wzmagał i umniejszał natężenie gazowego płomyka. Przy tem mruczał coś pod białym wąsem z cicha i monotonie, a usiadłszy na stołku, ze zgaszonym już w piersi gniewem, rozpoczynał gderliwe a długie upomnienia, połączone zazwyczaj z wyrzekaniami na nowy świat, terażniejszych ludzi, nauki ich, wymysły i t. d.

Lusia nie wdawała się z dziadkiem w spory, słuchała milcząc, lub odpowiadając z rzadka cichym i z pozoru łagodnym słowem; ale przy rozstaniu żegnała go coraz chłodniej, a przychodziła doń coraz rzadziej i na krócej...

Raz — a miała wtedy lat już blisko szesnaście — weszła do oszklonej izdebki z zaczerwienionymi od płaczu oczyma, bardzo i widocznie rozżalona. Zapominając o wszystkich goryczach swych i urazach, Otocki rzucił się ku niej z trwogą, pytaniami, pieszczotą. Zaledwie mogąc wstrzymać się od lkań, powiedziała mu, że nazajutrz Julek opuścić miał Onwil, a wyjechać w podróż do dalekiej, dalekiej stolicy.

— Cóż? — pytał Otocki — czy przywiązałaś się doń tak bardzo, że cię rozstanie z nim tak wiele kosztuje?

— Tak! — odpowiedziała — lubię go bardzo i smutno mi będzie bez niego; ale największy mi żal, gdy pomyślę, że on tam na świecie będzie żył, patrzył, uczył się, wtedy, gdy ja...

Otocki zbladł.

— Czy chciałabyś, — zaczął z wolna — czy chciałabyś żyć tam, dokąd on jedzie?

Z naiwnym samolubstwem młodości zawołała żywo:

— O tak! tam, czy gdzieindziej, byle nie tu, byle nie tu!

Opasujące kibić jej ramię Otockiego opadło. Chciał coś powiedzieć; rumieniec tryśnął mu na zorane czoło; ale, jak zwykle, dla niej i przy niej powściągnął się, i tylko wzniosłszy ku gazowemu płomykowi oczy, pełne stalowych błysków, mrugał powiekami tak szybko i uparcie, jak gdyby powstrzymać chciał łzy, albo jak gdyby oślepl nagle i przejrzeć usiłował.

Julek przed miesiącem otrzymał od zwierzchności szkolnej tak zwane świadectwo dojrzałości i wyjeżdżał do stolicy, w celu uczęszczania na kursa medyczne w istniejącej tam Akademii. W przeddzień wyjazdu jego, sine ściany małej sypialni Ryżyńskich były świadkami sceny następującej. Około północy, pani Aniela zdjęła ze ściany skarbonkę z białą kartą, noszącą napis: „Dla Julka na uniwersytet,” i z rodzajem nabożnego uszanowania postawiła ją na stole, przy którym siedział pan Marcelli, zapominający w dniu tym nietylko o czytaniu gazety, ale nawet o zamienieniu surduta z połączanymi guzikami na wygodny szlafrok. Kiedy oboje, pochyleni nad skarbonką, otwierali ją wspólnymi siłami, twarz kobiety oblaną była silnym wzruszeniem, w pół radośnym, w pół jakby uroczystym, a długie, suche ręce mężczyzny drżały tak, że dla spełnienia łatwej roboty swęj potrzebował minut kilka. Tymczasem, nakształt złoczyńców, zabierających się do rozglądania nieprawych łupów, zamieniali się oni urywanymi i tajemniczymi szeptami:

— Ile tam być może? — zapytywała kobieta.

— Nie wiele pewno.

— Może nie wystarczy?

— O, gdyby mu przynajmniej na parę lat była pomoc jaka!

Tu roztworzyła się ściana skarbonki i na stole zabrzęczały wysypujące się nań monety.

O! jakże tego było tam wiele i zarazem jak mało! Złotówki srebrne, miedziane dziesiątki i czworaki, trochę zmiętych rublowych banknotów, okryło sobą część stołu i widokiem swym wprawio panią Anielę w pełne radości osłupienie.

— Dużo! bardzo dużo! — zawoła ze splecionymi dłońmi i wzrokiem wlepionym w dziedzictwo syna.

— Bardzo mało! — szepnął pan Marcelli i gorzki uśmiech przebiegł mu po wąskich wargach i wygolonych błyszczących policzkach.

Zaczęli liczyć powoli, uważnie, w milczeniu, raz tylko przerywanym głośnym okrzykiem pani Anieli, gdy wśród miedziaków błysnął różowy, wartość dziesięciu rubli przedstawiający, papierek. Żadna marząca wesoła dziewczyna nie powitała pierwszej róży wiosennej z tak rozkosznym uśmiechem, jakim był ten, który oblał twarz kobiety na widok tej zgniecionej szmatki.

— Zkąd to? — zapytała i bystro spojrzała w twarz mężowi.

On odpowiedział:

— A wtedy... kiedy to, pamiętasz, otrzymałem gratyfikacją i zostawiłem u siebie tę assygnatkę... na cygara...

— Cóż? a co było z cygarami?

— Nie paliłem ich wcale przez czas jakiś.

— A! — zawołała — i mówiłeś mi wtedy, że cię gardło boli!

Uśmiechnął się tak błado i sucho, jak uśmiechał się zwykle. Lecz ona patrzyła na niego z uszczęśliwieniem niewymownym.

Koniec końców, oszczędności Ryżyńskich, przez lat dziesięć na rzecz syna czynione, wynosiły summę rubli około trzysta. Zebrana ona być mogła cudem prawie.

Na parę godzin przed odejściem na północ pociągu kolei żelaznej, pan Marcelli, który po raz pierwszy, odkąd zostawał w służbie rządowej, dnia tego do biura nie poszedł, zawołał syna do małej sypialni i, oddając mu paczkę assygnat, mówić zaczął:

— Oto wszystko, mój Julku, co mogliśmy zrobić dla ciebie. Oddaliśmy cię do szkół i po groszu zebraliśmy sumkę, której połowę daję ci teraz, a połowę chowam u siebie na pierwsze zapotrzebowanie twoje. Jest to bardzo mało, ale w naszym położeniu.... wiesz....

Zatrzymał się, pomyślał trochę i mówił dalej:

— Posyłałem cię do szkół i posyłam teraz do uniwersytetu, dla tego, że sam doświadczyłem, jak źle jest żyć, nie mając możliwości dążenia do wyższej kariery, do lepszego i łatwiejszego bytu. Ja tej możliwości nie miałem i dla tego jestem, czém byłem, i będę, czém jestem... a to ciężko. Jednak....

Zawahał się i po chwili dopiero kończył:

— Jednak, być może, że byłem do czegoś więcej zdolny; że za młodu miałem więcej, niż teraz, myśli w głowie, bystrzejsze pojęcie, więcej siły i ochoty do wszystkiego. Ale uzdolnienie, które otrzymałem, i okoliczności, które mi w drodze stanęły....

Tu wstał, wyprostował się, zgasłe oczy jego błysnęły.

— O! te okoliczności — zawołał pełnym i dźwięcznym głosem, — one-to mi najbardziej stanęły na drodze, przykuły do jednego miejsca, znękały wiecznym upokorzeniem, strachem.... Ja chcę, abys ty silniejszym był od okoliczności tych; abys był niezależnym od nikogo i od niczego; abys miał nadzieję i nigdy, nigdy nie mówił sobie: jak było, tak jest, jak jest, tak będzie....

W chwili tej uroczystej dla niego, zbudził się w nim człowiek takim, jakim kiedyś być musiał, jakim być mógłby; wielkim głosem krzyknął w nim ojciec, pragnący przedewszystkié uchronić syna od ciemnej, niskiej, beznadziejnej doli. Z twarzą zarumienioną i rozgorzałym okiem, w obie dłonie ujął głowę syna i, cisnąc ją do swój piersi, po wiele razy powtarzał nad nią:

— Ucz się Julku, ucz się, abys mógł zrobić karierę, abys mógł iść, iść z nadzieją, że znajdziesz!

Pani Aniela przy rozmowie tej obecną nie była.

W kuchence, nad kuferekiem Julka schylona, uśmiechając się i płacząc na przemian, układała ona małą wyprawę syna, bacząc starannie, aby wszystko w niej było całe i czyste i mocne. Tam, kędy jechał, panowały długie i ostre zimy; pani Aniela więc przyspasabiła oddawna, a teraz zaopatrywała go we wszelką, możliwą dla niej do otrzymania, ciepłą odzież.

Ojciec mówił mu o karierze i nauce dla kariery; matka myślała o tém, aby się nie zaziębił...

Rok minął. Niezwykły ruch panował w małej bawialni Ryżyńskich. Obchodzono tam uroczystość podwójną: przyjazd Julka ze stolicy na wakacje i szczęśliwe ukończenie przez Lusię nauk, a zarazem i lat siedemnastu. Żółte ściany nigdy jeszcze nie wyglądały tak wesoło. Słońce letnie rzuciło na nie przez małe okna kilka promieni, w świetle których

czerwieniły się jaskrawe róże, zdobiące cyferblat starego zegara, a mosiężne wachadło wydawało się złotem. Przed starożytną kanapą, przy stole, zastawionym wyjątkowo wspólnym, bo aż z trzech potraw złożonym, obiadem, siedziało osób pięć, z których jedną był Otocki. Siedział on plecami zwrócony do okna, gdyż od czasu pewnego oczy jego, nawykłe do zmroku i sztucznego światła, z trudnością wielką mogły znosić blask dnia i słońca. Uwalniając się na parę godzin zajęć swych, nie miał on snadź czasu zmienić hotelowej libery na ubranie inne, lecz dziś nie zdawała mu się ona wcale być ciężką lub przykrą. Poprostu zapominał o niej, tak, jak zapewne o wszystkim na świecie, co nie było tą młodą dziewczyną z lnianym warkoczem nad bladym czołem, która siedziała naprzeciwko niego, w szczególności u niej sposób, ożywiona i radosna, a na którą patrzył on wciąż swemi, chorobliwie mrugającymi, lecz pełnymi szczęścia, oczyma.

Ona za to całą uwagę swą zwracała na młodego człowieka, który, pomiędzy panią Anielą i panem Marcellim siedząc, ich też twarze, jak słońce oblicza słoneczników, ku sobie zwracał.

Był bardzo przystojnym, jakkolwiek przez rok ubiegły bardziej jeszcze schudł i pobladł. Piękne i delikatne rysy jego okryły się wyrazem życia i ruchliwości, oczy nabrały blasku, gesta energii i pewności siebie, która, w towarzystwie innym, wydawałaby się nawet mogła rubasznoscią, lecz w otaczającym go kole budziła podziw, zmieszany z uszanowaniem. Mówił wiele o stolicy, o wspaniałościach jej i różnorodnych stosunkach, lubując się widocznie wrażeniem, które sprawiał na obecnych, a które wyrażało się u pani Anieli szerszym, niż kiedy, pełnym zachwytu uśmiechem; u pana Marcellego — nieśmiałą, lecz pilną uwagę, z jaką go słuchał; u Lusi zaś gradem zapytań, któremi go obsypywała. Jednak, pomimo swobody tej, humoru i niewidywanego w nim dawniej zadowolenia, od czasu do czasu na powierzchowność jego wibijały się objawy innej całkiem natury. Zbyt głośny i rubasznym śmiechem jego urywał się czasem, czoło chmurniało i zbiegało się pomiędzy brwiami w grube fałdy, oczy nieruchomiały i spuszczały się ku ziemi. W chwilach takich wydawał się srogim, ponurym i o wiele starszym, niż był istotnie. Potem budził się jakby ze snu, podnosił wzrok, uśmiechał się i obu dłońmi burzył, gęste jak las, a długie aż po ramiona, swe włosy. Przyglądając się wciąż synowi, pani Aniela ze śmiechem zawołała:

— Juleczku! dla czego nie kazałeś sobie włosów ostrzyżąć?... nikt przecież nie nosi takich długich włosów?

— Dla tego właśnie ja noszę i nosić będę. — odpowiedział młody człowiek tonem, repliki nie dopuszczającym.

Pani Aniela o replikowaniu nie myślała, lecz w kilka minut później zawołała znowu:

— Juleczku! dla czego, zmieniając ubranie podróżne, nie włożyłeś czystej koszuli? przecież — wzięła ją z kufierka i razem z surdudem położyła.

Zachmurzył się i z niecierpliwością odrzucił:

— Ależ, moja mamo! nie pojmuję, jak można zwracać uwagę na wszystkie te drobnostki! Cierpieć ich nie mogę i pewnie sił i życia na nie tracić nie będę. Potrzebniejsze są one na rzeczy ważniejsze...

— O tak! — z zapałem zawołała Lusia, poczem jednak z namysłem dodała: — Jednakże, pamiętasz Julku! czytaliśmy kiedyś o tym, że stopień cywilizacji kraju odgadnąć można po ilości zużywanego w nim mydła....

Wlepiał w nią długie, szyderskie trochę spojrzenie i odpowiedział z wolna i dobitnie:

— Kiedy wszyscy ludzie na świecie będą mieli chleb, nam wolno będzie myśleć nie tylko o mydle, lecz choćby o perfumach. Dla czegoż nie? Perfumy są rzeczą przyjemną i batystowa bielizna przyjemniej głaszcze skórę, niż grube płótno... Szkoda tylko, że wszyscy ich mieć nie mogą... a trzeba... żeby mieli..

Lusia zarumieniała się, spuściła oczy i szepnęła z cicha:

— To prawda!

Julek zwrócił się do Otockiego, prowadząc dalej przerwana przed chwilą rozmowę.

— Nie zazdrościsz panu — mówił — częstego widywania tych ludzi, którzy chmarami zwykle spadają na wielkie hotele, aby roztaczać tam cały blask bogactw swych i tytułów...

Otocki czuł się widocznie zmieszonym nieco; z roz wagą jednak odpowiedział:

— Ależ bywają niekiedy pomiędzy nimi ludzie nieźli i dobrzy....

— A ja — porywczo zawołał młody człowiek — ja! ja! — powtórzył — zaręczam panu, że są to pozostałości czasów minionych, wstrzymujące pochód ludzkości i które ludzkość...

— Juleczku! — zawołała nagle pani Aniela — co też ty mówisz? Są to przecież ludzie możni i tacy rozumni...

Tu i pan Marcelli powoli mówić zaczął:

— Rzeczywiście! rzeczywiście! ja sam widuję czasem wielkich panów, przychodzących do biura z interesami. Niektórzy z nich są bardzo grzeczni, a przytém tak im jakoś łatwo o wszystkim mówić, z każdym się obejść...

Julek uśmiechnął się wzgardliwie i zwrócił się do ojca:

— I ojcu nigdy nie przyszło na myśl, że różnice, zachodzące pomiędzy położeniem ich i ojca, są krzyżującą niesprawiedliwością?

Pan Marcelli ze zdziwieniem popatrzał na syna, a gdy nakoniec wyrozumiał myśl jego, wzruszył z wolna ramionami i odpowiedział:

— Nigdy nie zazdrościłem nikomu....

— Zazdrościć — z gestem przerażenia zawołała pani Aniela! — Juleczku! jak można przypuszczać, aby ojciec twój pożądał cudzego dobra?

Z odcieniem niecierpliwości, doznawanej zwykle przez ludzi, którzy czują się niezrozumianymi, syn odrzucił:

— Ależ, moja mamó! co to jest: cudze dobro? Ziemia jest wspólną własnością... Ale, po co ja o tém mam tu mówić? Tu nikt nie rozumie rzeczy takich, ani się niemi zajmuje. Ojciec i mama spleśnieliście w swoim ciasnym, mieszczańskim życiu i, aby zrozumieć nowy świat i nowych ludzi, braknie wam już siły...

Pani Aniela szeroko otworzyła oczy i usta; pan Marcelli spojrział na syna i, ze wzrokiem wlepionym znowu w talerz z cicha wymówił:

— Nie powiedziałaś mi nic nowego... wiem o tém dawno, że jestem ciemny i głupi... wolałbym jednak, abyś ty mi tego nie mówił....

Otockiego oczy błysnęły, jak stal.

— Niepięknie — rzekł półgłosem — niepięknie jest i niedobrze w sposób ten do rodziców mówić!

Julek ściągnął brwi. Wyraz twarzy jego stał się srogim i ponurym, a postawa wyglądała pełną obrazy.

— Gdzie idzie o prawdę — wyrzekł niechętnie — tam niepowinno być względów żadnych.... Rodziców oświecać należy tak samo, jak innych ludzi....

Otocki był wzburzony.

— Tylko, że oświecanie to zapóźno już przybywa! — zawołał. — Niemłodzi są, zmęczeni, spracowani.... korzystać długo z lekcji syna nie będą!...

Pan Marcelli wstał nagle i ruchem, niepospolicie u niego żywym, wyciągnął rękę ku Otwockiemu.

— Prawdę pan powiedziałeś! — rzekł — niedługo... bo i pocóż?

Spojrzał na żonę, której silne rumieńce zbladły jakoś w téj chwili, a zwiędłe usta drżały.

— No, no! — rzekł powoli — nie martw się tylko, Aniелciu! On nie przez złe serce... tak sobie... młode piwko....

— Ależ przepraszam! — zawołał Julek, — zapomniałem, że tu z każdym słowem liczyć się trzeba... Przywykłem już do innego życia.... przepraszam! Rodzicom ubliżyć nie chciałem.... pocóż komukolwiek ubliżyć?

Pani Aniela, płacząc, rzuciła się na szyję syna.

— Myśmy cię zawsze tak kochali!... ojciec tak myślał zawsze o twojej przyszłości!... Co my na świecie mamy, oprócz ciebie?

W objęciu matczyném zmiękl i złagodniał. Pocałował matkę w rękę i, jakby pragnąc zakończyć scenę, która go nudziła, mówić zaczął o czém inném. Z pewną przesadą zwrócił rozmowę ku najbliższym i najpowszedniejszym przedmiotom. Opowiadał o śniegach, które zeszlęj zimy w obfitości wielkiej spadły na stolicę, i o używanym tam sposobie jeżdżenia saniami.

Otocki pierwszy zerwał się od stołu, pochwylił czapkę z galonem i, czule uściśnawszy wnuczkę, a wszystkich śpiesznie pożegnawszy, wybiegł.

Wkrótce potem pan Marcelli wysunął się do sypialni, a pani Aniela wyszła do miasta po bułki i mleko do herbaty; Julek i Lusia zostali sami. Stali chwilę u okna, u tego samego okna, przy którym siadywali przez długie lata dzieciństwa swego, przytłoczeni dusznym powietrzem ciasnego mieszkania, znudzeni żółtymi jego ścianami, podobni do dwóch ptaków o nastrzępionych piórach, które przez szczeliny klatki swój wyglądają na świat, dojrzyć go nie mogąc, i Bóg wie, jakie dziwy o nim sobie roją. Teraz, jakże zmienionymi byli oboje! On kipiał całym życiem, energią i zuchwałą śmiałością. Chwilami chmurny i ponury, wydawał się przeciwieństwem młodzieńczej nadziei i nieograniczonej ufności w obietnice świata i siły. Ona, szczupła i drobna, w kształtach swych i ruchach miała słabowity wdzięk kwiatów, urodzonych pod chmurnym niebem i już w chwili rozkwitu przywędłych. Bładość, okrywająca drobne jej rysy, zabarwiona była żółtym odcieniem, przy którym ostro odbijały lnianopłowe włosy, jednym grubym splotem owijające małą jej głowę. Wśród bladoci tej i pod tym jasnym warkoczem, ciemne jej oczy płonęły przytłumionym blaskiem; uśmiechała się rzadko, a w zarysie bladawych warg jej tkwił rozmarzony, nieledwie extatyczny wyraz. W ogóle znać w niej było jedną z organizacyj tych, które, wytwarzane przez pewne właściwości czasu i miejsca, krew mają bladą, a jednak wrzącą pod smagającym ją biczem wyobraźni, mięśnie zanikające pod niszczącym wpływem nerwów, drgających konwulsyjnie pod wpływem najłżejszego choćby wrażenia. Lekarz i psycholog na widok jej zawołaliby zarówno: ratunku dla istoty tej ze zwichniętą równowagą władz ciała i ducha! dla harfy tej, której struny jedne śpiewają zbyt głośno, a inne śpią w niemym milczeniu!

Śmiało i badawczo patrzyła w twarz towarzysza swego i ze szczupłymi ramionami, skrzyżowanymi u piersi, z wolna, z cicha mówić mu zaczęła, jak bardzo szczęśliwą czuje się tym, że tu przybył, że o mnóstwo rzeczy zapytać go na koniec może i powierzyć mu tysiąc myśli, które przychodzą jej do głowy, a o których mówić nie ma tu przed kim.

On usiadł, jak mógł, najwygodniej, na twardym rodzicielskim krzeselku, drugie umieścił w ten sposób, aby na nim w całej długości nogi swe mózg rozciągnąć, i w postawie tej, zaniedbania pełnej, papierosa pałac, patrzył na nią przyjaźnie, lecz więcej jeszcze ciekawie.

— Biednaś ty! — zaczął, gdy mówić przestała. — Istotnie to bięda siedzieć w tych ciasnych, żółtych ścianach, pomiędzy tymi ograniczonymi i wółumarłymi ludźmi, kiedy świat szeroki tak piękny i bogaty, tak pełen ruchu, życia, przyjemności rozmaitych, ha! i myśli także, i usiłowań, aby te wszystkie piękności i przyjemności w jak największej summie osiągnąć, i jak najszerzej ich użyć....

Zarumienił się gorąco.

— Pamiętasz — ciągnął — nasze nocne czytania i dysputy, tam, w kuchni? Pamiętasz, jakieśmy sobie łamali głowy nad różnymi rzeczami? Ja aż zgrzytałem zębami, a ty aż płakałaś z żalu i z gniewu nad tym, że jesteśmy tacy osamotnieni, że nikt nam w labiryncie tym ręki nie podaje, i do prawdy, do wiedzy nie wiecie? Otóż wiesz, po roku, przeżytym wśród innego świata, innych ludzi, ja nie szukam już, nie walczę i nie skarżę się na samotność. Rok ten wydaje mi się wiekiem, który mię od przeszłości oddzielił. Znalazłem prawdę, ha! sto prawd, wspaniałych i pięknych jak marzenie; wiem wszystko, rozumiem wszystko, otrząsnąłem się z pleśni przesądów i głupich urojeń, znienawidziłem do reszty ten stary świat, pełny niesprawiedliwości i głupstwa... jestem człowiekiem nowym!....

W miarę, jak mówił, Lusia coraz głębiej wlepiała wzrok w ożywioną twarz jego.

— Szczęśliwy! szczęśliwy! — zawołała z namiętnym uniesieniem i, rozplótszy ramiona, obie dłonie do czoła podniosła.

Julek ochłonął już i, zarzucając stopy aż na poręcz krzesła, a niby grzywą wstrząsając długimi włosy, zapytał:

— A tyż? co z sobą uczynić zamierzasz? gdzie i jak żyć będziesz?

Lusia spochmurniała i z wolna opuściła się na krzesło.

— Albo ja wiem? — szepnęła — attestat skończenia nauk mam... jakich tam nauk! ty wiesz... Ale lekcje języków i innych tam rzeczy dawać mogę i pewnie będę.

Julek patrzył na nią z ironią i wstrząsnął głową z politowaniem.

— I cóż dalej — zapytał.

Wzruszyła ramionami.

— A cóż — nic...

— Nic dalej! Posiwiejesz, lekcye dając. To wesoło! Ale... jaka z tego korzyść wyniknie?

— Kawalek chleba dla dziadka i dla mnie — odpowiedziała chmurnie i ze spuszczo-

nemi oczyma.
— Kawalek chleba, do którego nawet masła nie będzie. To wiele! No, a dla ogółu, to jest dla ludzkości, dla idei, dla postępu, co?

Lusia kurczowo splotła dłonie i zaledwie dosłyszalnie szepnęła:

— Nic.

On za to zaśmiał się głośno, rubasznie i pogardliwie:

— Otóż to, — zaczął po chwili — mieszczańskie szczęście wasze!... skończyć pensyą, włożyć długą suknię, chodzić od domu do domu, aby różnych bzdurstw nauczać dzieciaki, potem wyjść za mąż, za jakiego np. kancellistę, który codzień o jednej godzinie chodzić będzie do biura, spać i jeść, a tobie każe przez całe życie gotować obiady i wieczorami łatać starą bieliznę... Szczytne marzenia i wielki doprawdy plan życia!...

Lusia rumieniła się i bladła z kolei.

Julek, po chwili szyderczego patrzenia w splonioną jej twarz, mówił dalej:

— A może... może zdarzy ci się wyjść za mąż bogato... niebrzydka jesteś... owszem, ładna nawet jesteś... i tegobym ci najwięcej powinszował; bo jeżeli zmarnujesz się dla ludzkości, to choć sama odżyjesz... Ale ja ciebie znam... ty bogatego męża łapać sobie nie będziesz... lada dzień spotkasz gdziekolwiek, na ulicy, w kościele, w jakich żółtych ścianach, młodzieńca, obdarzonego przez naturę ładnymi wąsikami i talentem do zawracania głów dziewczętom, zakochasz się w nim, on się w tobie zakocha, ksiądz zwiąże wam ręce stulą i zacnie... zacnie się dla was to, jak je tu nazywacie, rodzinne życie, pełne garnków, kołysek, kłótni... i pracy tej, co w oczach naszych, w oczach nowych ludzi, jest samolubnym i daremnym marnowaniem sił i czasu...

Tu umilkł, bo Lusia pochwyciła obie jego ręce.

— Julku, — zawołała, — nie szydź ty ze mnie, nie pomiataj tak moją przyszłością... ja na to nie zasługuję! Byłam towarzyszką twoich prac i myśli dziecinnych; czuję, że i teraz godną jestem, abyś mówił do mnie na seryo i dzielił ze mną wiedzę swoją... A wierz mi, ja niczego nie pragnę, tylko uczyć się, wiedzieć... ach, wiedzieć wszystko i żyć wzniosłe, żyć wszystkimi siłami, które czuję w sobie... Wiesz? Przez ten rok, gdy ciebie tu nie było, uczyłam się jak mogłam i czego mogłam, czytałam, myślałam... Nie mając z kim rozmawiać tak, jak z tobą tylko rozmawiałam, noce całe leżałam nieraz, nie śpiąc i patrząc w ciemności, na tle których zjawiały mi się dziwne obrazy... ale nie takie, nie takie, o jakich tylko co mówiłeś... Widywałam walki jakieś krwawe, potężne, wiedzione przez rycerzy, którzy mieli sztandary z wypisanymi na nich wielkimi słowy; widywałam jakieś tłumy blade i znędzniałe, wyciągające ręce ku niebu, na którym powoli, powoli rozpałało się ogromne słońce, z wyrazem: sprawiedliwość, na łonie; widywałam stos jakiś gorejący, jakby ten, na którym umierali: Joanna d'Arc, Giordano Bruno i inni, i siebie na stos ten wstępującą, a taką szczęśliwą, jaką nie czułam się nigdy, nigdy... Julku, ja nie chcę, ja nie mogę kucharką być, ani próżniaczką... łatać łachmanów ubóstwa, ani zjadać chleba bogactwa niezpracowanego i niedzielonego z tymi, którzy biedni... głodni!... Za mąż iść? nie myślałam nigdy o tém, i nigdy też, nigdy nie będę wykręcać się przed lustrem, jak te głupie dziewczyny, koleżanki moje, którym to tylko w głowie i na sercu... Ani ja młodych ludzi kokietować, jak one, nie umiem... Patrzę na nich, ot, tak samo zupełnie, jak na te żółte ściany, bo są oni tak samo szpetni i tak samo nudni... Ja chcę uczyć się, wiedzieć, żyć... nie tak, jak wszyscy żyją, ale wyżej jakoś, wyżej, goręcej i — umrzeć choćby młoda, choćby męczeńską śmiercią, ale za kogoś drogiego... za coś wielkiego!...

Dalej mówić nie mogła, bo zabrakło jej oddechu. Zdyszana i cała drżąca wznosiła w górę oczy rozgorzałe i topiące się w łzach. Julek patrzył na nią długo ze zdziwieniem i zachwyceniem zarazem.

Nagle zawołał:

— Ależ śliczna jesteś na prawdę! No, no! pierwszy raz spostrzegłem, że masz takie cudne, ogniste oczy i w całej sobie coś... coś takiego...

Nie dokończył. Nie umiał określić nazwą żadną czaru tego, którym w tej chwili oblała się przed nim postać tej dziewczyny. Nie pochodził przecież czar ten z czego innego, tylko

z niezmiernego zapachu jej, który ją całą napełniał i jakby podnosił, a był tym gwałtowniejszy, że cele, ku którym wzbierał, były nieokreślone, że, jak istnieje w świecie naiwna wiara i miłość, tak w niej istniały naiwne, przedmiotów swych nieświadome, pragnienia. Nie mógł przecież nie rozumieć, że u samego źródła swego pragnienia te były szlachetne. To też po chwili dodał:

— I nie tylko śliczną jesteś, ale także rozumną i pełną dobrych chęci dziewczyną!

Ona przecież obojętnie przyjęła pochwały jego. Nie przyjmowała nawet, bo nie słyszała ich wcale.

— Julku! — mówiła ze złożonymi dłońmi i prośbą w oczach, — mów, mów mi o wszystkim, ucz mię, kieruj mną... tyś taki rozumny, tyś tyle już nauczył się, widział, żył...

Zamyślił się na chwilę. Uśmiech głębokiego zadowolenia igrał na ładnej jego twarzy. Czuł, że stawał się, po raz pierwszy w życiu, mistrzem czyimś, że rozpoczynał czynność apostołską i propagatorską, o której zaszczytach i potrzebie tyle słyszał, ku której czuł pociąg wielki, która zadawała dumę jego, i to, co mienił przekonaniem swemi.

— Pocóż więc, — rzekł, — prawiłaś mi o jakichś lekcjach, które dawać będziesz, i o jakimś kawałku chleba dla siebie i dziada?

Patrząc w ziemię, odpowiedziała:

— Cóż? jestem biedną i mam dla dziadka obowiązki.

— Obowiązki! — przerwał Julek i zaśmiał się znowu głośno i wzgardliwie. Zarazem zdjął nogi z poręczy krzesła, wyprostował się i, wstrząsając długimi włosami, zawołał:

— O moja droga! jeżeli takimi są wyobrażenia i przekonania twoje, radzę ci jak najprędzej starać się o lekcye, a zarazem rozpocząć studia osoby swęj przed lustrem...

Lusia była przełęcznioną i zawstydzoną bardzo.

— Julku! — zaczęła cicho i prędko, — dziadek był dla mnie bardzo dobry, wyhodował mię, pracował na mnie; gdy zestarzeje i pracować przestanie, czyż nie będzie obowiązkiem moim...

— Daj pokój! — przerwał z wyższością w głosie i postawie, — daj pokój, bo aż mię uszy bołą... Czyż nie rozumiesz, że mówiąc o obowiązkach względem niedołęznego i na nic świata niepotrzebnego starca, powtarzasz pacierz za panią matką a zapominasz o tych wielkich i rzeczywistych obowiązkach, które każdy z nas, ludzi nowych, ma dla ludzkości... Ludzkość — to idea, rozumiesz? to miliony, to ogół! cóż wobec niej znaczy jednostka i to jeszcze taka?... Pragniesz żyć wzniosłe i choćby umrzeć za coś wielkiego, a mówisz o oddaniu całej siebie dla spełnienia obowiązku względem jednostki... Niema w tym sensu, moja droga; jesteś jeszcze pod wpływem przesądów i przestarzałych wyobrażeń... Zrozumiesz to wkrótce sama; a teraz, chodź na spacer! Wieczór piękny, przejdziemy się, a czasu nie stracimy; bo w drodze opowiem ci wytlómaczę wiele ciekawych rzeczy.

Poszli i w tej już pierwszej wspólnej przechadzce zwrócili na siebie uwagę ulicznych przechodniów. Długie włosy Julka, rozsypujące się po kołnierzu paltota, a także niedbłość ruchów jego i wyzywająca wzgardliwość, z jaką rozglądał się dokoła, nadawały mu pozór człowieka niespełna przytomnego, albo awanturnika, szukającego zaczepki. Lusia znowu, ażeby towarzyszowi swemu dowieść, jak bardzo nie dbała o strój i powierzchowne swe wyglądanie, zamiast kapelusza, zawiązała na głowę jakąś zmiętą chusteczkę, rąk nie okryła rękawiczkami i pozwoliła warkoczom swym swobodnie spływać na plecy i piersi. Od młodej i pięknej pary tej wiały w tej chwili: nieporządek i lekceważące pomiatanie wszystkim, co ją otaczało. Ludzie też oglądali się za nimi, niektórzy przecież bez zadziwienia. Byli to ci, którzy podobnych do Julka młodzieńców widywali już nieraz i wiedzieli, z kąd młodzieńcy Onwilsy przywożą długie swe włosy i wzgardliwe postacie, surowe czoła, a pod nimi zbyt błyszczące oczy... Julka, zajęcie, które spostrzegł pośród publiczności onwilskiej, cieszyło i bawiło; ale Lusia nie widziała dokoła siebie nic i nikogo. Wszystkie władze jej istoty zbiegły się w organie słuchu. Julek przez cały czas przechadzki mówił do niej o czémś, z zapalem i ironią, naprzemian, z szerokimi gestami, niekiedy szeptem, pełnym namaszczenia i tajemniczości...

Od dnia tego codziennie odbywali długie przechadzki we dwojgu. Najczęściej, aby mózdz swobodnie rozmawiać, wychodzili za miasto. Szli prosto przed siebie, wstępowali na śliczne wzgórza, otaczające Onwil; deptali łąki, z nad których wzbijał się mocny zapach skoszonych traw; mijali pola, płynące złotą falą dojrzałych zbóż; przesuwali się pod

cieniem sosnowych borów, albo towarzyszyli szemrzącym, spokojnym, błękitnym falom rzeki. Lecz dla natury, która, gdy tylko wyszli z opylonych i skwarnych ulic miasta, otaczała ich wielkiem kołem piękności swych i ukojeń, — ślepi oni byli i głusi. Kwiaty, które deptali, ptaki, które śpiewały nad ich głowami, złote kłosy kłoniące się niby do stóp zachodzącemu słońcu, i samo to topienie się światła dziennego w morzu purpury i złota, widywali oni dotąd tylko na kartach ksiązek, które przedstawiały je w opisach lub niedołączonych rysunkach. Umieli oni to wszystko, lecz nic z tego nie znali i — nie kochali, nic też z tego nie wywierało na nich oświeżających i kojących wpływów. Dzieci prawie, mijali kwiaty i ptaki i malownicze widoki, z powagą i obojętnością mędrców, lub mężów stanu, którzy, losy świata w głowach swych ważąc, lub na barkach niosąc, ku drobiazgom życia i natury, najczarowniejszym choćby lub najbardziej nauczającym, zniżyć się nie chcą i nie umieją. I w istocie, dla wszystkiego, co powszedniem było, nie okazałem, nie wabiłem wzroku i wyobraźni wyniosłością szczytów swych lub jaskrawością barw, Julek wyznawał pogardę bezwzględna. O zajęciach i pracach codziennych, jednostki tylko ludzkie na celu mających, zarówno jak o cnotach i poświęceniach cichych, wykonywających się w obrębie ścian domowych i kółek rodzinnych, mawiał: dzieciństwa! Przestrzeń wszelką, ograniczoną do jednej okolicy jakiegóż, do jednego kraju, nazywał: zakątem, parafią, albo nawet więzieniem. Zdawało się, że wciąż i z siły całej wyteżał władze wzroku i myśl, aby mózgi niemi od krańca do krańca całą kulę ziemską ogarnąć i, pomijając stopnie wszystkie, najwyższych szczytów pojęć i pragnień ludzkich dosięgnąć. Wahania się wszelkiego i stopniowania, ważenia idei na szalach rozważań i przymierzania ich do niezliczonych kantów i załamań rzeczywistości, nie używał nigdy. Po prostu nie przychodziły mu one na myśl, nie znał ich, nie rozumiał i — nie chciał. O wszystkim wiedział na pewno, wszystko rozstrzygał stanowczo, do najostateczniejszego końca, z absolutyzmem wiary, nieznaną zwątpienia, i doskonale z siebie samej zadowolonej wiedzy. W osobistych ambicyach swych i marzeniach, zarówno jak w ogólnych, nie ograniczał się na rzeczach małych lub chociażby miernych. Stałe, prawidłowe pełnienie społecznej funkcji jakiegóż nazywał niewolnictwem i daremnym marnowaniem sił. Czuł się powołanym do działań na szeroką skalę, do misyj apostoelskich, mających na celu zbawienie, lub co najmniej reformowanie ludzkości; do czynów rozgłosnych, jak pioruny, świetnych jak błyskawice, przed którymi, jak przed temi potężnymi zjawiskami przyrody, ludzie musieliby upaść na klęczki, zdumieni, wielbiący, pokorni. Gdy mówił o przyszłym stanowisku swém społecznym, marzył głośno o hołdzie powszechnym i zarazem o olbrzymiej radości, płynącej z uszczęśliwienia milionów. Zarówno namiętnie i szczerze pragnął szczęścia dla ludzkości i chwały dla siebie; obok zaś chwały purpurowej, przed wyobraźnią jego zawsze i nieprzeparcie zjawiało się złote — nie żadne inne. O srebrnym dostatku, ani tém bardziej o miedzianej biedzie, nie mógł myśleć dla innych bez litości, dla siebie — bez obrzydzenia. Snuły mu się wciąż po głowie marmurowe pałace, lukullusowe uczyty, błyskawiczne jazdy i wszelkie możliwe wytworności przemysłu i sztuki, na które przez rok ubiegły napatrzył się był, lub o których był się nasłuchiwał w stolicy.

Samotnie używać wszystkich tych wyrafinowanych rozkoszy ciała i ducha Julek nie chciał; samotne używanie takie odrzuciłby od siebie z oburzeniem. Pragnął, ażeby ludzkość cała, caluteńka, używać ich mogła z nim włącznie, i wierzył mocno, niezłomie, iż bytoby to rzeczą możliwą, gdyby na zawadzie temu nie stali ci i owi, to i owo... Czuł się skrzywdzonym, w ludzkości i w sobie, dla ludzkości i dla siebie; mówiąc o ludzkości, mówił o sobie — i nawzajem. Łzy nabiegały mu do oczu, gdy patrzył na ludzi pracujących znojnje, w ubraniu ubogim i ze znużonymi twarzami; ścisnął pięści z wściekłością, ilekroć mówił lub myślał o tej olbrzymiej przestrzeni, która byt jego oddzielała od bytu bogaczy i potężnych świata tego. Widma powszechnego i osobistego szczęścia i użycia ścigały go wszędzie, upajały mózg jego, łechtały fantazyą i w drżenie wprawiały nerwy, a tak ściśle z sobą złączone były, że rozpoznać i rozdzielić ich nie mógł.

Szczerem był, szczerem przed towarzyszką swą i przed samym sobą, aż do najostateczniejszych głębin myśli i uczucia. Dobra wiara jego skażoną nie była najmniejszym cieniem udawania, lub choćby wewnętrznej i mimowolnej niejako obłudy. Szczerość też ta rozpałała mu źrenice ogniem namiętnym, brwi ściągała w zmarszczki groźne i ponure, albo w uśmiechu i dźwiękach głosu odbijała się słodczą czarownych nadziei. Wtedy Lusja na czole jego spostrzegała piętno geniuszu i niezwykłych przeznaczeń, w mowie

słyszała potęgę wiary mocnej i pragnień namiętnych, patrzała mu w twarz z podziwem, słuchała go chciwie, i korna, wdzięczna, zachwycona, chłonęła w siebie wszystko, czém poił ją i karmił, pożądała najdoskonalszego zjednoczenia się z nim w wierze, wiedzy i dążeniach. Zawsze, od najwcześniejszego dzieciństwa swego, czuła ona potrzebę skrzydeł dla myśli swych i uczuć. Niegdyś, w izdebce dziadka szwajcara, skrzydła te wyrastać jęj zaczęły; lecz, niewzmacniane, zaniedbane, przy zetknięciu się ze szpargałami, czytaniami w kuchence, — odpadły. A nie należała do rzędu tych, którzy bez skrzydeł, więc bez wielkiej miłości jakiejś i myśli, żyć i czuć się szczęśliwymi mogą. Teraz miała już to, czego potrzebowanie nurtowało ją do dna głuchém cierpieniem i dolegliwą nudą. Dowiadywała się nakoniec, jakim był świat ten, a jakim być może i powinien? czego trzeba do szczęścia ludzkości? i że zdobywanie szczęścia tego ma być zadaniem i szczęściem jęj życia. Naturalnie, dawanie lekcyj, w celu zdobycia powszedniego bytu dla siebie i starego dziadka, wydawało się jęj teraz mroczną jakąś, ciasną, błotnistą niziną. Całą istotę jęj coraz potężniej i rozkoszniej rozpierały wołania: na szczyty! na szczyty! w płomienie ofiarne! w jak najszerszą, swobodną, swobodną przestrzeń!... A gwar i ruch stołeczny, starcia się zdań i sądów w poufałych a mądrych i uczonych kołach, a na każdym kroku spotkanie tam sposobności nauczania i nawracania, a przez to i uszczęśliwiania kogoś!... Dziewczyna zasłaniała dłonią oczy olśnione i wołała: to raj! a gdy potem, ze szczytu wzgórze, spojrzeniem ogarniała miasto rodzinne, niby w całun, w bolesne swe losy spowite, odwracała wzrok i szeptała: to grób!

Szli obok siebie ścieżką, okrążającą malownicze wzgórze, i podniesionymi głosami rozprawiali o najtrudniejszych przedmiotach myśli i badań ludzkich; stawali nad brzegiem rzeki i błękitnym jęj falom rzucali najwspanialsze imiona i najśmielsze hasła ludzkości; na mchach leśnych lub polnych kamieniach siedząc, a dumnie podnosząc odkryte swe głowy, rozwiązywali najzawiętsze zagadnienia, godzili najjaskrawsze sprzeczności, formułowali sądy i wyroki, nad których bezwzględnością zadumał-by się długo najbardziej fanatyczny z dotychczasowych poprawiaczy świata. Zglądzieli oni przedewszystkiém wszelkie a wszelkie różnice, zachodzące w losach, mieniu i dostojeństwie ludzi pojedynczych; potem przystąpili do różnic tych, które zachodzą pomiędzy nie ludźmi już, lecz ludami; a drzewa, okryte nieprzenikloną gęstwiną liści, z których żaden podobnym nie był do drugiego, dowiedziały się z ust ich, że powinien być, a zatem, w skutek ich starań, i będzie wkrótce, na ziemi, jeden dla wszystkich ludów język i obyczaj, jedno zadanie i prawo... I wobec ptaków, ścielących gniazda swe i troskliwie roztaczających skrzydła nad bezbronnością piskląt, rozwiązywali raz na zawsze węzeł ten ludzkiego żywota, który się zwie rodziną; a patrząc na robaka, który pełzać musi, na kwiat, którego korona wzbic się nie może nad wzrost swęj lodygi, i na drobne owady, które spójnym słupem unoszą się w powietrze, — mówili o niczém nieograniczonej, żadném prawem i żadną spójnością nie krępowanej, swobodzie człowieka...

Do wiatrów lecących nad rodzinnymi ich polami wołali w uniesieniu bez granic:

— Niema Greka, ani Żyda!

Przypatrując się tłustym, rumianym wieśniaczkom, które z głośniami śmiechy, uderzając się wzajem w plecy silnymi pięściami, wiązały zboże w snopy, wzdychali żałośnie, potem wydawali tryumfalne okrzyki:

— Nie będzie pracy ciężkiej, cierpienia i znoju!

Innym razem, wiotka, blade dziewczyna, srebrnym głosikiem swym budziła sąsiednie echa, wołając:

— Niema mężczyzny, ani kobiety!

Z przechadzek tych Lusja wracała rozpromieniona, różowa, z żywością ruchów, nigdy przedtém u nięj nie widywana. Czasem bez przyczyny ręce jęj drżały i gwałtowne rumieńce tryskały na twarz. Wyglądała tak zupełnie, jak wyglądają zazwyczaj dziewczyny zakochane. W całém téż szczupłym kole jęj znajomych szeptano, że zakochaną była w przystojnym tym chłopcu, który codziennie wyprowadzał ją na długie zamiejskie przechadzki. Ona jednak nie słyszała tego i, gdy był nieobecny, myśląc o nim, widziała pod powiekami obraz jego, spowity w olśniewającą jasność i zawieszony pod samém gdzieś słońcem. Głośno i w myśli swęj nazywała go: mistrzem. Czasem, gdy była samotną, siadywała długo z zamkniętymi oczyma i w tył odrzuconą głową. Na tle żółtęj ściany, albo pstrego okrycia kanapy, blade jęj twarz zarysowywała się w liniach rozwiewnej niemal

delikatności i nieskończonej słodyczy. Ciemne rzęsy jęj rzucały na przezroczyste policzki długie zadumane cienie, a drobne usta roztwierały się zachwyconym uśmiechem. Widywała wtedy rzeczy czarowne. Długim szeregiem ciągnęły podówczas ku niej i otaczały ją postacie wspaniałe, w szatach z kryształu i srebra, z koronami z dyamentów lub płomieniami zwojami u skroni.

Zkąd przybywały one?

Kędyś, kędyś, za gorzkim morzem, za gęstym lasem, za grubym wałem chmur, za rzęsistym deszczem strzał, waży się na skrzydłach z błyskawic szereg ogromnych idei ludzkości. Aby dojść do nich i skrzydła ich o jeden cal choćby ku ziemi przybliżyć, trzeba rozbić chmury niewiedzy, zrębać las przeszkód, wypić morze wątpień, wziąć w siebie strzały bólów. Tu i owdzie znajdują się dość silni, dość mężni i dość wytrwali, aby to czynić, i są to dobroczyńcy ludzkości. Lecz ku rozmarzonej dziewczynie tej, zarówno jak ku zuchwałemu jęj towarzyszowi, dolatywały tylko błyski ważących się w oddali idei, a w błyskach tych widzieli oni odbite ich widma. Linie widm były mętne, porwane, lecz dla tego właśnie nie było w nich nic twardego, ani ostrego. Były one rozwiewne i lekkie, i dla tego wydawały się do ujęcia łatwemi; a taka była z nich jasność, że znikwały w niej wszystkie skazy ich i próżnie.

Z extatycznej zadumy budził najczęściej Lusię głos Julka. Wtedy zwracała się ona ku niemu, i rozmowę z nim, do której skorą zawsze była, zaczynała od słów:

— Julku, my ludzie trzeźwi...

On zwykł był mawiać o niej i o sobie:

— My realiści...

Tak przeżyli parę miesięcy letnich, a w miarę, jak zbliżał się dzień odjazdu Julka, Lusia stawała się coraz posępniejszą i w głębi duszy niemal zrozpaczoną.

— Pojedziesz, — mówiła, — i będziesz tam bezemnie działał i cierpiał!...

— Będę w całej pełni używał życia! — W jęj dykcyonarzu nie było wyrazu: użycie. Jedyne to był wyraz, który z ust jego do jęj myśli nie przeszedł. Natomiast mawiała często o cierpieniu.

— Pragnę cierpieć, — powtarzała coraz częściej, — byleby za ideę naszą, byleby z tobą i ze wszystkimi nowymi ludźmi!

— Cierpieć! po cóż cierpieć? Cierpienie nie powinno całkiem istnieć na ziemi, ani dla mnie, ani dla nikogo....

— Jednak, — w zamyśleniu szeptała Lusie, — ja czuję, że cierpienie może być szczęściem, że poświęcić się, choćby na męki za coś drogiego i wielkiego, byłoby rozkoszą większą, niż używać bogactw i sławy....

Julek odpowiadał:

— Mówisz tak, bo nie znasz ani bogactwa, ani sławy... ja widziałem je z bliska i wiem, że bez nadziei przynajmniej ich żyć nie warto.

Wstrząsała przecząco głową. Były to jedyne ich sprzeczki.

Raz patrzył na nią długo rozplomienionymi oczyma, aż nagle, z gniewnym wybuchem głosu, zapytał:

— Cóż? czy doprawdy zostać myślisz w tej ciemnicy i zgnić w niej sobie powoli?

Pomimo usiłowań powstrzymania łez, wybuchnęła płaczem.

— E! — zawołał, — nudna jesteś! na nic więcej zdobyć się nie możesz, tylko na babskie szloch. Ja łez nie cierpię, bo sprawiają mi przykrość! Czynu trzeba, moja droga, woli, energii, czynu!....

Struchlała, czując, że był z niej niezadowolonym; otarła szybko oczy, i splatając dłonie, prosić go zaczęła, aby nauczył ją być energiczną i mężną.

— Jedyne sposob, — mówił, — nie dbać o nic.... słyszysz? zupełnie o nic! o zdanie, ani o uczucia niczyje, o formy, ani o zwyczaj; lecz robić tak, aby osiąść jak największą sumnę zadowolenia...

— A inni? — szepnęła nieśmiało.

— Tym tylko sposobem zrobić można coś i dla innych, to jest: wyzwoliwszy się — wyzwalać.

Były to jednak dotąd abstrakcje tylko i teorie. Nadszedł dzień praktyki i czynu. Oddawna już Julek wracał z miasta do domu rozdrażniony i gniewny. Skarżył się przed Lusią, że w rodzinném mieście jego nikt prawie nie rozumie go i pojęć jego nie dzieli;

że, co większa, ludzie obchodzą się z nim coraz zimniej, a czasem nawet i niegrzecznie. Marszczył brwi i ścisnął pięści, albo społeczeństwo, które jego i pojęć jego ocenić nie umiało, nazywał wzgardliwie strupieszalém i bezrozumném.

W głębi duszy uszczęśliwiała go to, że czuł się wyższym i mędrszym nad ludzi, na których się uskarżał; swoją drogą przecież brak uznania dla osoby jego i zaprzeczenie ideom, które głosił, wzbudzały w nim gniew i chęć drażnienia tych, którymi gardził.

— Kiedy widzę, — mówił, — że oburzam ich i zasmucam, mam szaloną przyjemność rzucać im w oczy szpilki i żuźle... Kolą ich one i palą, ale przecież i rany nie leczą się inaczej, tylko przez cięcia i wypalania....

Dnia pewnego uczucia te wzmogły się w nim szczególnie. Powiedział Lusi, że dowiedział się o głupich plotkach, krążących po mieście o nim i o niej; zżymał się, rzucił, potem wyszedł i wrócił do domu późno, gdy wszyscy już spali, z zawinięciem jakimś pod ramieniem.

Nazajutrz, w parę godzin po południu, kiedy Lusią, w małej bawialni siedząc, daleko więcej zajęta była myślami swemi, niż robotą, którą trzymała w ręku, Julek wyszedł z rodzicielskiej sypialni i stanął przed nią w dziwném ubraniu.

— Dziwiłaś się pewno, — rzekł, — że stroję się dziś tak długo; ale za to, zobacz, jak się ubrałem!

Istotnie z trochę zdziwienia w oczach patrzyła ona na krwisto-czerwoną bluzę jego, opasaną szerokim, rzemiennym pasem, na długie, kolan aż sięgające, obuwie, okrągłą czapczkę w² kilku pawimi piórami, którą włożył na głowę. Zaśmiała się zrazu.

— Ach! — zawołała — czy będziesz lody po mieście roznosił?

Zachmurzył się i wzajem zapytał:

— Czy myślisz, że celem moim jest zabawa? nie rozumiałaś, co chcę czynić?

Owszem, rozumiała teraz i bystro spojrzała mu w oczy.

— Braterstwo ludów... — wymówiła z wielką powagą.

— Tak! — odpowiedział z namaszczeniem nieledwie, — zamanifestuję przekonania moje jawnie i śmiało.... Precz z przesądami!

Wraz z ostatnim okrzykiem wykręcił się na pięcie i w kilku hołubcach przebiegł pookoik. Spoważniał jednak wkrótce i stanął przed Lusią.

— Czy pójdziesz ze mną? — zapytał głosem, w którym brzmiał nieledwie rozkaz.

Nie wahała się ani chwili. Oczy jej błysnęły. Wstała.

— Pójde! — odpowiedziała z wolna i spokojnie — ja też pokażę, że kobieta wolną jest w wyborze przekonania swoich, a dość silną być może, aby otwarcie, przeciw wszystkim i wszystkiemu, przekonania te objawiać!

— Brawo! — zawołał Julek. — Nie straciłem tu daremnie czasu! Zdobyłem dla idei naszych dzielną adeptkę!

Prędko, prędko wyjęła z warkocza podtrzymujące go szpilki, aż jedwabisty, gruby i nieco splątany, spłynął jej na plecy. Pochwyciła potem mały, męzki prawie, kapelusik i włożyła go w ten sposób, iż osłaniał tylko tył jej głowy, na śmiałe czoło najlżejszego nie rzucając cienia. Przejrzała się w małym lusterku i zawołała:

— Teraz jestem więcej do mężczyzny podobna!

Zaśmieli się oboje, swawolnie, dziecinnie niemal.

Manifestowanie idei w ubraniach niezwykłych było dla nich zabawą o tyle, przynajmniej, o ile wydawało się missyą. Wyszli. Ludzie oglądali się za nimi daleko więcej jeszcze, niż zwykle, a na wszystkich twarzach zjawiał się na ich widok wyraz niesmaku lub gniewu. Ktoś, mijając ich z bliska, wzruszył gwałtownie ramionami; ktoś inny, zatapiając w oczach Julka długie spojrzenie, parsknął głośnym, gorzkim śmiechem. Julka oznaki te publicznej niechęci bawiły i czyniły dumnym. — Głupcy! — mówił przez zęby i nastrojał twarz do najgroźniejszego, to znowu do pogardliwego wyrazu. Lusią zbladła zrazu, zdrętwiała i ciężko opuściła się na ramię towarzysza.

— Co ci to? — zapytał — lękasz się?

— O nie! — zawołała prędko, i nad wszystko w świecie lękając się najbardziej poniżenia się w jego oczach, stąpać zaczęła równo, i śmiało na ludzi oczy podnosić. Na rogu jednej z ulic młody człowiek zapalił papierosa i otwartą cygarnicę podał Lusi. Cofnęła

²z. [przypis redakcyjny]

się z razu instynktowym ruchem; ale, spotkawszy się z jego rozognioném spojrzeniem, zrobiła, czego żądał. Co większa, jakby pragnąc obmyć winę chwilowej słabości swój, podniosła wysoko głowę, z drobnych ust wyrzuciła w górę grubą nić dymu i wyzywającym spojrzeniem potoczyła dokoła. Przytém, bądź z wysilenia, którego dokonywała, bądź z radości, którą napełniła ją własna jój odwaga, zarumieniła się szkarłatnie, a z tym rumieńcem i z szybko dyszącą piersią szła dalej. U początku jednak ulicy, przy której znajdował się hotel Wszech-Krajów, targnęła silnie ramię towarzysza, szepcząc:

— Nie tędy, Julku!... tylko nie tędy!

— Dla czego? — zapytał tonem krótkim i ostrym.

— Dziadek... — odszepnęła.

— Aha! — zaśmiał się — lękasz się dziadka! pocóż szłaś? nie trzeba udawać odwagi, gdy się jój nie ma, ani miłości dla idei, gdy się dla niej nic zrobić, ani przenieść nie chce...

Słowa te tak ją ubodły, że aż jęknęła z cicha.

— Mylisz się! — odrzekła — nie lękam się niczego; tylko nie chcę sprawić przykrości temu, który....

Julek przerwał z uniesieniem:

— Wszelkie indywidualne przykrości i boleści iść powinny na stronę wobec celów ogólnych. Wiesz o tém dobrze, ale tylko kobiece serce twoje sprostać nie może zasadzie....

— Kobiece serce!... — zawołała Lusia — o Julku!

Zacisnęła zęby, — bo myśl, że dziadek zobaczy ją w téj chwili, klęła ją w serce, — i szła dalej.

Przed wspaniałymi drzwiami hotelu Wszech-Krajów stał powóz opakowany, z którego wysiadali przybyli goście. Otocki otwierał drzwiczki powozu, wyjmował zeń pakunki i ze zwykłą sobie poważną uprzejmością odpowiadał na liczne pytania przybyłych. Nagle wyprostował się jak struna, zbladł bardzo, a wyrazy zawisły niedomówione na ustach jego, które otworzyły się jakby dla wydania straszego krzyku. Wzrokiem, sypiącym stalowe błyskawice, ścigał on młodą parę, idącą przeciwległym chodnikiem; powiódł dłonią po oczach, jakby świadectwu ich wierzyć nie chciał, i uczynił ruch, zdradzający popęd do rzucenia się za odchodzącymi. Nie rzucił się jednak, pod wpływem może nagłej rozważi, że gonitwą swą bardziej jeszcze zwróci na nich uwagę, przed którą właśnie aby mózgi ich osłonić, z radością dałby duszę swą na wiekuiście męki....

Wrócił więc do oszklonej izdebki swój, błądy jak ściana, niemy, z bezwładnemi rękoma i ciężko wlokącą się chorą swą nogą. Runął na stół i twarz ukrył w dłoniach. — Lecz długa bezwładność i bierność nie leżały w charakterze jego. Zerwał się wkrótce i, przebiegłszy się, znalazł się w pokoju pana Leonida Igorowicza, który, stojąc w téj chwili w oknie, pogwizdywał wesoło i palcem, zdobnym w turkusowy pierścionek, wybijał takt na szybie.

— Panie! — zaczął Otocki zdyszonym głosem, — potrzebuję wydalić się z hotelu na parę godzin.... może na resztę dnia!

Pan Leonid Igorowicz zwrócił się ku niemu i, nie dając mu bezpośredniej odpowiedzi, ze śmiechem zawołał:

— Ależ, słowo honoru, ta wnuczka pańska wyrosła na śliczną dziewczynę. Co za włosy, jakie oczy!....

— Panie! — powtórzył Otocki, — potrzebuję wydalić się z hotelu na godzin....

Zagłuszył go śmiech pana Leonida Igorowicza.

— I rozumna! — mówił. — Nie taka, jak te nasze dziewczyny, które dla różnych głupstw tracą życie — ot, nie wiedzieć na czém! Ona potrafi użyć życia, oho! taka młoda, a już w niej znać tęgą sobie kobietkę....

— Panie, — zaczął znowu Otocki, — a ręka jego, drżąc, posuwała się ku kłapie surduta pana Leonida Igorowicza, — potrzebuję wydalić się z hotelu....

Pan Leonid Igorowicz był z natury niezłym chłopcem i postrzegł nakoniec bolesne wzruszenie szwajcara.

— Dobrze, dobrze, — rzekł, — idź pan sobie. Jakób pana zastąpi.... Ale czego taki zmartwiony? Czy dla tego, że ona tak sobie szła z papierosem w gębie, taka czerwona i z tym kawalerem tak ubranym? Daj pan pokój! To wszystko, co pan myślisz, jest głupstwem. Człowiek z edukacją takich rzeczy za złe nie bierze, bo on wie, że główna rzecz użyć sobie życia, a reszta, to tylko zabobony....

Przestał mówić, bo Otockiego nie było już w pokoju. Patrzył przez okno za odchodzącym szwajcarem, a rękę z turkusem topiąc w rzęsiście ufryzowanych włosach, zawołał:

— Waryat!

Tymczasem młoda para szła dalej przez miasto, coraz więcej i widoczniej dumna sprawianem przez się wrażeniem. Upajali się rolą tą, którą odegrywali wobec jasnego dnia i tysięcy oczu ludzkich, a upojenie to odbijało się coraz wydatniej w ruchach ich i wyrazie twarzy. Na jednej z ulic spotkali się oko w oko ze strojnem i wesołem towarzystwem, pośród którego były dwie młode kobiety, z blizka znane Lusi. Orzuciły ją one od stóp do głowy wzgardliwem spójrzeniem, wzgardliwy też uśmiech przeleciał po ich ustach, nie powitały jej najłżejszem skinieniem głowy i przeszły. Ona stanęła na miejscu, jak wryta i, odwracając twarz, rzuciła za odchodzącymi głośną i pogardliwą też gamkę śmiechu.

— Brawo, Lusi, brawo! — zawołał Julek.

Nie spostrzegł, że, gdy z piersi jej lał się potok śmiechu, oczy miała pełne łez. Cierpiała bardzo, lecz zarazem czuła się tak dumną, iż zdawało się jej chwilami, że tuż, tuż, uniesie się nad ziemię. Szczęście to i tę dumę czuła silniej jeszcze na widok biegnącej naprzeciw nim młodej dziewczyny, w skromnym bardzo ubraniu, z zawiniątkiem jakimś w ręku, którą też znała, a która, spostrzegłszy ją, spuściła oczy i, z wyrazem twarzy pełnym zmieszania, zbiegła jej wcześniej z drogi na przeciwną stronę ulicy. Widocznie nie chciała ani witać się z nią, ani też okazywać jawnie, że powitania unika. Lusia powiodła za nią okiem, uśmiechając się litośnie.

— Tamte, — rzekła, — tamte.... dwie, to kokietki, próżniaczki, strojnisi... a ta, biedna gąska, której się zdaje, że czyni wszystko, co człowiek czynić powinien, gdy od rana do nocy pracuje ciężko nad książką i igłą, dla tego tylko, aby brat i siostra nauczyć się mogli kilku żyjących i umarłych języków.... Jak niewolnica zaprzęga się do pługa i nie rozumie tych, którzy takich wązkich zagonków orać nie chcą i nie umieją. Tamtych.... nienawidzę! nad tą lituję się!

Stan jej był tak podnieconym, że ciągle prawie mówiła, a wyrazy płynęły z jej ust ze szczególną łatwością i jakby same przez się układały się w dźwięczne, dobitne frazesy. Po godzinie przebywali mniej już ludne, wiejskie prawie, ulice miasta, aż nakoniec zostawili je za sobą i znaleźli się pośród wzgórzystych gajami i borami poprzerzynanych, pól. Tu Lusia stanęła, zatrzymała towarzysza swego i rozejrzała się dokoła. Po raz pierwszy czuła ona z rozkoszą, jak rozognioną twarz jej chłodziły świeże, szerokie powiewy, a pierś jej, szarpana zmieszaniem uczuciami męki i radości, upokorzenia i dumy, głębokiem odcznięciem wciągnęła w siebie fałę przesiąkłego wonią powietrza. Wysunęła ramię swe z pod ramienia Julka i wbiegła na szczyt zielonego wzgórza. On pobiegł za nią.

— Jak tu pięknie! — mówiła, rozglądając się dokoła — czy czujesz, jak tu dobrze i łatwo oddychać? czy widzisz jak sosny te silnie się odbijają na kryształowo-błękitnym tle powietrza? Jakie chmury tam... na zachodzie... niby ponure zamki z krwawymi ścianami, albo góry, u szczytów obrębione złotem! Co tu ptaków! i jak one wesoło świergocą! Czy pomiędzy niemi niema nierówności i niesprawiedliwości do poprawiania, ani głupstw i przesądów, z którymi walczyć każdy powinien! O, mój Julku, jaki ten świat piękny! Dlaczegoż na nim droga do prawdy — taka trudna? jak błogo jest oddychać i żyć na łonie natury, której poprawiać i z którą walczyć nie trzeba!

On, zwykłym sobie, pedantycznym nieco tonem, zaczął:

— Mylisz się! naturę także zwalczać i poprawiać należy, i nietylko tę zewnętrzną, która istnieje wokoło nas, ale i tę wewnętrzną, która objawia się w skłonnościach i pojęciach, włanych w nas przez ciemne wieki... Prawo dziedziczenia, to wielkie i zdumiewające zjawisko przyrody, wyjaśnia nam...

Nie skończył, urwał nagle, a nawet, gdy mówił jeszcze, znać było, że myślał o czém innym. Patrzył na Lusię nie tylko uparcie, ale nawet z wyteżeniem takim, że zdawało się, iż niepodobna mu było wzroku od niej oderwać. Dziewczyna zdjęła małe kapelusik swój, jakby on nawet ciężył jej w tej chwili, a głowa, okryta bogactwem włosów, kąpała się cała w złotej łunie zachodzącego słońca. Oczy jej, zatopione w kryształowej wilgoci, świeciły jak brylanty, drobne usta drżały pośród rozrurienionych lic, a kształty kibici, objęte wązką czarną suknią, uwydatniały się na przezroczystem tle powietrza, szczuple, lecz gibkie, drobne, lecz drgające całą wezbraną energią młodzieńczych sił.

— Lusi! — wymówił Julek i urwał znowu.

Nigdy jeszcze w ten sposób nie wymówił jéj imienia nigdy nie slyszéła, aby gø jego byéł tak przytúmionym i miékkim.

— Lusi! — powtörzył i, choé staéł tuéż obok niéj, zbliéżyéł sié bardziej jeszcze.

— Co, Julku? — zapytaéła z pie&szczoútéą w gølosie.

Postawa jego, butna zazwyczaj i zuchwaéła prawie, staéła sié nie&smiaéłą i niezrécznéą; wahanie sié, niemal lékliwoéść brzmiaéła mu w gølosie, gdy, wziéawszy jéą za réké i géłboko patréjąc jé w oczy, zacząéł znowu:

— Lusi! wiesz? ty jesteéś nie&tylko energicznéą i rozumnéą dziewczynéą, ale téż — bardzo ładnéą! Pragnéłbym porwaéć cié... unieéść gdzieéś daleko i byéć z tobéą w jakiéjsé samotnoéści odludnéj... w jakiéjsé ciszy niezmaéconéj...

Przerwaéła mu nagéłm wysuniéciem réki z jego döni i wykrzykiem:

— Nie, Julku! nie! nie!

— Co nie? co nie? — pytaéł z cicha i namétnie, usiúłéjąc ramieniem kibiéć jéj otoczyć. Lecz ona cofnéła sié w tyéł, gibka i spréżysta, a stajéć o paré kroköw i, nie podnosząc na niego oczu, szepnéła jeszcze:

— Nie, nie, nie, Julku!

Widaéć byéło, ée; ona, tak &smiaéła tam... poéród wzgardliwych u&smiechöw i niechéténych spojrzeén walczyła teraz z nie&smiaéłościéą i zawstyúdzeniem dziewicéstwéem. On takéże staéł nieruchomy, nie&smiaéły i tylko z pod brwi, ukradkiéem, poéraéł jéą spojrzeéniami.

Wzmogéła sié nakoniec w odwagé i stanowczoéść, a prostujéć drobnéą swéą kibiéć, z paléjącéem licem, möwić zaczęéła:

— Nie, Julku! ja nie chcéć, éebyéś ty sié kochaéł we mnie i o tém mi möwiéł. My, realiéści, powinniéśmy rzeczy po imieniu nazywaéć! My, ludzie trzeéźwi, powinniéśmy jasno patrzeéć na uczucia nasze. Otöż — choé mi to przykro... möwiéć otwarcie, ée; zrozumiaéłam, co czuleéś w téj chwili... i nie chcéć, nie chcéć, nie chcéć... aby ludzie, ktörzy nas posédzajéą i spotwarzajéą, mieli súsznoéść, abyéśmy sami nie byli pewni, ée; zdobywamy swobodé i walczymy z przesédami — nie dla siebie!

Entuzjazm jéj, podbudzany kto wie jakimi túmionymi porywami, wzbiéł sié teraz do szczytu swego. Wyciégajéć ku niemu réce, jak do modlitwy splecione, zawoéłaéła:

— Julku! przyrzecé mi, ée; nigdy nie bédziesz do mnie möwiéł i nie bédziesz na mnie patrzeéł, tak... jak przed chwiléą. Ja nigdy nie zapomnéć o tobie, ja nie wiem... czy bédeé mogéła bez ciebie éycéć... ja cié Kocham... ale... jak siostra!...

Ostatnie söwa wymöwiéła z wybuchem i po kilka razy, jakby niemi samé siebie, gøsy jakieéś wewnétrzne zagúszycéć pragnéła; a porywajéć go za réké, z oczyma paléćcami sié w łézach, möwiéła épiesznie, choé juéż z cicha:

— Julku! weéźmy z sobéą élub... élub braterski! przysięégnijmy sobie tu... zaraz... ée; wiecznie... bédziemy dla siebie bratem i siostréą w idei!...

Uklékaéła i pociégnéła go, aby uczyniéł to samo. Zresztéą, nie potrzebowaéła-by go nawet pociégaéć. Porwany jéj zapaléem, zawstyúdzony jéj söwami, namétnie éciskajéć jé réké, przez zaciéśnięéte zéby möwiéł:

— Tak! masz súsznoéść! masz súsznoéść! Jesteéś rozumnieéjsza odemnie, wiéćéj oddana wielkim sprawom éwiata... jesteéś wielka! jesteéś przeéśliczna!

Z poúłączonymi döniami i natchnionymi twarzami, wzniesionymi ku poúłöconym błékitom nieba, w powodzi röżowych éwiatéł, na szczyécie zielonego wzgörza kléczéć, dréżéćmi nieco gøsy, lecz wyraéźnie i zwolna, möwili, a racéżéj ona möwiéła, a on za niéą powtarzaéł:

„Wobec natury niepokalanéj niesprawiedliwoéścią, ani nédzéą żadnéą... wobec zötych obököw tych, na ktörych takéby dobrze nam byéło púłynéć razem w odludnéą samotnoéść i niezmaéconéą ciszéć jakéś... w imié éwiétéj, wielkiéj prawdy, ktöréą bronéć mamy od gnébiéjących jéą przesédöw... my, dzieci éwiata, ludzie nowi, przysięégamy, ée; przez caéłe éycie nasze... do émierci... na wieki, bédziemy dla siebie bratem i siostréą — w idei!”

Gdy powstaéli, ona podaéła mu do pocaúłunku czoéło swe, jak zorza röżowe, a on przyúgnéł doún ustami, dúżej, goréćéj, niéż na to pozwalaéł éwieéżo zawarty pomiéędzy nimi zwiézek braterstwa w idei.

Zstépowali ze wzgörza, trzymajéć sié, jak dzieci, za réce. Ona patrzeéła na niego wzrokiem, peúnym niewysöwioneéj czuéłości; on wréżaéł wewnétrznie, lecz powösciégaéł sié, zwycięéżaéł, i tylko, nie wiedzieéć dla czego, teraz wúłaénie opowiadaéć jé zacząéł o spotykanych

w stolicy parach szczęśliwych, które, wzgardziwszy wszelkiemi przesądami gminu, kochają się, i żyją razem, bez żadnych pozwoleń ani uświęceń ludzkich. Teraz, po raz pierwszy, odsłaniać począł przed nią jeszcze ideę, o której mówić nie przyszło im dotąd na myśl. Była nią: wolna miłość.

Zastukali do jakiejś chaty zamiejskiej, w bżowych i głogowych krzakach ukrytej, prosząc o trochę mleka. Siedzieli na trawie, bawiąc się zerwanemi z krzaku, a w szkarłatne jagody zdobnemi gałęziami, patrzali na wschód bladego księżycza i — długo milczeli. Od chwili do chwili odrywali wzrok od stojącej nad sosnami srebrnej obręczy i patrzali na siebie. On zdawał się pić chciwie spojrzenia jęj i uśmiechy, które stawały się tak rzewne i senne, jak u znużonego i spoczynku pragnącego.

Wracając do miasta, Julek opowiadał towarzysze swęj o kobietach możnych i pięknych, ba! o księżniczkach, które ginęły ze świata i z pomiędzy ludzi, tak, że nie wiadano nic co się z niemi stało, a które potem odnajdowano w otchłaniach nędzy i cierpień, gdy boso i w siermięgach pracowały z poniżonymi braćmi, służyły im, otwierały oczy ich na prawdę... Wyrzekły się one dla idei wszystkiego — prócz miłości. Z niemi razem byli i poświęcali się ci, z którymi bez żadnych sankcyj świata połączyły się one, węzłem wolnej i nie przymuszonej miłości, na mocy tego wielkiego prawa natury, które zwie się: pokrewieństwem z wyboru.

— Śliczne życie! — szepnęła Lusia.

— A któż ci zabrania żyć tak samo — odpowiedział jęj surowo i niemal gniewnie.

I dodał:

— Nie dość jest chcieć i marzyć! Trzeba czynić i umieć spełnić marzenia własne.

Zamieniając słowa te, wstępowali na wschody żółtej kamienicy.

W małej bawialni, na odgłos otwierających się drzwi, z nad stołu, przy którym siedział, podniósł się stary wysoki człowiek, z twarzą bladą i groźną. Na widok jego, Lusia instynktowo cofnęła się z razu; lecz wnet, zawstydzona jakby własnym tym ruchem, śmiało, z podniesioną głową, weszła do bawialni. W tęg-że chwili pani Aniela, ze splakaną i niezwyčajnie u nięj wzburzoną twarzą, wybiegła do przyległej izdebki, szczerlnie i ze stukiem drzwi za sobą zamykając. Julek stanął w progu w postawie takięj, jakby gotował się do śpieszenia z obroną młodęj dziewczynie. Lecz nie miał przed kim, ani przed czém jęj bronić; Otocki zbliżył się do wnuczki i, biorąc obie jęj ręce, nie tylko spokojnym, ale nawet zimnym głosem mówić zaczął:

— Nie pytam się ciebie, gdzie była i co robiłaś przez te długie, śmiertelne godziny, w których ja oczekiwałem tu powrotu twego. Nie mów mi nic; bo jeżeli słowem potwierdzisz mi w żywe oczy to, co czynem dziś okazałaś, lękam się, abym nie zapomniał, że jesteś dzieckiem mego biednego syna i że kiedyś byłaś moją najdroższą pociechą i nadzieją...

Lusia zaczęła drżeć i wyrwała ręce z dłoni dziadka.

Przytłumionym już i trochę drżącym głosem mówił dalej:

— Nie mów nic. Nie chcę wiedzieć o niczém, a raczej wiem... Ale ratować cię muszę i dla tego chciałem cię dziś jeszcze zobaczyć, aby ci powiedzieć, że masz wybierać się w drogę. Za dwa dni... końmi, które dla ciebie najmę, z panią Ryżyńską, u której to wyprosiłem, pojedziesz na wieś, tam, gdzie przepędziłaś pierwsze lata swego dzieciństwa...

— Ja! tam! W ten zakąt ciemny jak grób? Za nic! — odpowiedziała, z razu z oburzeniem i zdumieniem, potem stanowczo.

Otocki, jakby nie słyszał jęj, mówił dalej:

— Za utrzymanie tve płacić będę. Nauczą cię tam gospodarstwa wiejskiego, a wzmian ty uczyć będziesz dzieci twęj dawnęj opiekunki.

Usunęła się o kroków parę, skrzyżowała ramiona i z brwią ściągniętą, z posępnym błyskiem oczu, wyrzekła krótko i ostro:

— Ani na gubernantkę, ani na ochmistrzynią stworzoną się nie czuję. Nie pojedę za nic.

Otocki nie był już dalej panem usposobień swych, gwałtownych z natury, a tylko przez miłość dla nięj i poszanowanie dla smutnej pamięci jęj ojca na wodzy trzymany. Postąpił do nięj krokiem porywczym i, przesywając wzrokiem w twarz jęj patrząc, przez zaciśnięte zęby wymówił:

— Więc na cóż? na cóż stworzoną jesteś? Czy na jedną z tych zgubionych istot, które w hańbie kąpią poczciwe imię ojców?...

Jęknęła głucho i, wywołane krwawą obrazą, łzy strumieniem popłynęły z jęj oczu. Ale teraz i Julek także wystąpił z cienia, a stając pomiędzy dwójkiem srodze zwaśnionych ludzi, z gniewem, którego tłumić nie myślał, zawołał:

— Ja nie pozwolę, abys pan znieważał ją i łzy z jęj oczu wywoływał w obecności mej!

Kiedy Otocki spojrział na młodzieńca tego, którego bluza krwawo barwiła się nawet przy słabém świetle lampki, a w którego rękę połyskiwały sterczące przy czapce pawie pióra, wszystka krew buchnęła mu do twarzy. Przez chwilę spodziewać się było można, że pomiędzy dwoma ludźmi tymi zajdzie coś straszego. We wzroku obudwóch malowała się nienawiść i pogarda. Jednakże, po chwili nieprzytomnego prawie wzruszenia, Otocki opanował się znowu i głosem, który trząsł się i zamierał mu w gardle, rzekł:

— Pana nie znam. Nie wiem, kto jesteś, zkad przybywasz... to tylko sprawia mi ból niewysłowiony, że dziewczynę tę, noszącą imię moje, pod jednym z tobą dachem zostawić jeszcze muszę. Cóż robić? nie mam swojego... o! gdybym go miał wprzódy!..

Przestał mówić i wlepił w twarz wnuczki wzrok, pełny tak bezgranicznej, ponurój bolesti, że w niej drgnęło coś, niby wspomnienie lat dziecińczych, niby żal nad tym bezdomnym, a tak bardzo kochającym ją starcem. Zbliżyła się zwolna i łagodniejszym nieco, niż wprzódy, głosem, wymówiła:

— Dziadku!

Ale on usunął ją zimnym, rozkazującym gestem.

— Gotuj się do drogi! Jeżeli dobrowolnie jechać nie zechcesz, zawiozę cię przemocą. Długo byłem dla ciebie powolny i słaby. Od dziś znajdziesz we mnie nie starca niedołęznego, ale surowego sędziego i stróża.

Wziął ze stołu czapkę swą z galonem i, nie spojrzawszy już na nią, wyszedł.

W parę godzin później, w mieszkaniu Ryżyńskich cicho było i ciemno, i tylko w kuchence, na starym tapczaniku, przy oknie, bez innego światła, nad parę smug księżycowych, wlokących się po brudnej ścianie i podłodze, siedziało dwoje młodych ludzi. Lusią, z czołem opartém na dłoni, płakała cicho, ale głęboko i rzewnie; Julek mówił do niej tym głosem surowym i ostrym, jakim przemawiać zwykł, gdy czuł się z niej niezadowolonym i chciał wzmódt jęj energiją.

— Szkoda mi twoich pięknych oczu na łzy bez użytku. Co z płaczu? Dzieci tylko płaczą i niedołęgi. Ludzie nowi działają.

Podniosła na niego oczy, splotła ręce i zapytała:

— Cóż ja uczynię?

Wtedy on pochylił się ku niej i gorętszym, bardziej błagalnym, głosem, niżby to mistrzowi i bratu w idei przystało, zawołał:

— Razem, razem ze mną w świat, droga moja!...

Nie zdziwiła się. Sama może myślała już o tém nieraz. Tylko wyciągnęła rękę, wskazując na drzwi. Zrozumiał gest ten i, odpowiadając nań, zaczął:

— A! ten, co ztąd wyszedł! Biedny nieuleczalny głupiec! On jeszcze mówi o imieniu swych ojców! bierz z tego miarę umysłu jego i szczerze zapytaj siebie samęj, czy zacofańca i despotę takiego kochać możesz, i czy dla resztek marnego tego bezużytecznego życia poświęcać powinnaś młode swe siły, a przedewszystkiém to, co dla świata przez nie zrobić możesz?

Milczała długo, potem wymówiła z cicha i trochę nieśmiało:

— On wychował mię i był dla mnie taki dobry!

Julek spojrział jęj prosto w oczy i zapytał:

— A czy żądałaś tego, aby cię na świat ten sprowadzono?

Wzruszył ramionami i dodał:

— Że też to tak trudno ludziom jasno patrzeć na rzeczy. Cóż nadto prostszego, że ten, który był ojcem twego ojca, opiekował się tobą i nie dręczył cię bardzo? Każde zwierzę robi to samo względem swych małych. Jest to prawo natury. On spełnił je tak, jak to czynią wszystkie istoty organiczne i niema tu wcale powodu do żadnych, jak wyrażałaś się dawniej, obowiązków, tém bardziej do poświęceń. Zresztą, powiem ci prawdę, że wszelkie poświęcenia dla jednostek są głupstwem, exaltacją, wynikłą z napełnienia głów

ludzkich staremi urojeniami. Co innego ofiara dla świata, dla idei. Co innego, też gdybyś pokochała kogoś, równego sobie energją, umysłem i dążeniami; bo wówczas, gdybyś nawet i przecierpiała coś dla niego, pomimo to, byłabyś szczęśliwą...

Nie wiadomo, czy w tej chwili podzielała wszystkie zdania jego, lecz przestała płakać, i widać było, że ważyła je w myśli. On patrzył na nią niespokojny. Nigdy jeszcze nie pragnął tak bardzo przekonać ją i skłonić w kierunku chęci własnych. Po chwili, podrażniony jakby tém, że mu nie odpowiadała, zapytał:

— A może ci żal jeszcze porzucać rodzinne miejsce swe, ludzi, wśród których żyłaś dotąd, i te, jak mówią poeci, nieba ojczyste?... Jeżeli tak jest, słuchaj!...

Tu na oścież otworzył okno, za którym w dole ciągnęła się pusta teraz i cicha ulica, a w górze piętrzyły się dachy starych kamienic, z popękanymi ścianami i monotonnymi rzędami ciemnych okien.

— Czy słyszysz! — mówił — jak tu cicho.... cicho.... cicho....

I przejmując się sam uroczystością głębokiej istotnie ciszy, dodał:

— Jak w grobie!

— Słuchaj! — powtórzył — to grób, w którym nikt żywego nie podnosi głosu. Tu wszystko zdaje się spać z niemymi ustami, bez ruchu, ni walki, bez dążenia naprzód. Tu nikt nie dąży do niczego więcej, jak do możliwości spokojnego zasypiania codziennie pod jakim kawałkiem dachu i do bezpiecznego spożycia kęsa chleba, za który nieraz oddać musi rozum swój, swobodę i ludzką swą dumę. Dla czego tak jest? Mniejsza o to. Stare to dzieje, które nas, nowych ludzi, nie obchodzą wcale, i łamanie sobie głowy nad pytaniem tém byłoby daremną stratą sił. Ale tak jest. Miejsce więc tu nie dla nas....

— Nie dla nas! — powtórzył po chwilowym milczeniu i z mniejszym już uniesieniem, ale za to, z czémś nakształt żalu w głosie, mówił dalej: — Być może, iż gdyby było inaczej, ja nie myślał-bym o bezpowrotnym odjeździe i tobie bym nie mówił, abyś porzuciła grób... dla świata. Mnie wszystko jedno, gdzie żyć i pracować; możebym nawet kiedyś wołał „ojczyste nieba,” niż inne; bo przecież czują tak wszyscy prawie ludzie, musi być więc w tém jakieś prawo natury... Gdyby tu uczono się i dochodzono prawdy, gdyby tu można było jawnie i głośno walczyć o to, co człowiek ma najdroższego dla siebie, gdyby się tu ludzie spierali i łączyli w koła wielkie, i do postępu, do prawdy i do szczęścia dążyli.... lecz w katakumbie milczącej i ciemnej ja nie zostanę i tobie zostać nie dam... Czy słyszysz?

Czy słyszała go? Zapewne. Musiała też czuć gorące pocałunki, które schylony okrywał obie jej ręce; lecz nie mówiła nic i siedziała nieruchomo, jak posąg, szeroko otwartymi oczyma wpatrując się w lekkie obłoki, które w blaskach księżyca srebrzyły się, jak skrzydła dawnych rycerzy, i z pod złotych rąbków zdawały się pochylać ku ziemi „odważne i smutne oblicza”. Co tam ujrziała w tym podniebieskim orszaku? Może, tym razem, stanął tam znowu przed nią obraz bohatera, dla którego biło kiedyś dziecięce jej serce; bo tak, jakby tajemniczo i nieśmiało zwierzała się z czémś oblewającemu twarz jej światłu księżyca, szepnęła:

Jechał Sieniawski odważny i smutny
Na śnieżnym koniu i w błyszczącej zbroi.

— Co mówisz, droga moja, siostrze moja w idei? — zapytał Julek.

Za nic nie wyznała-by przed nim tego, co czuła przed chwilą, i tego, co mimowoli i wiedzy swój szepnęła. Gdyby to uczyniła, czułaby się w oczach jego, i przed sobą samą także, poniżoną strasznie.

W tej samej porze Otocky siedział pochylony nad hotelowymi księgami, lecz cyfr wypisanych na kartach ich nie widział. Za parę dni gwiazda oczu jego zniknąć miała z ciemnego jego nieba. Wołał jednak to, niżeli widzieć ją tu, wystawioną na obmowy i pośmiewisko ludzkie, — co większa: na niebezpieczeństwa, wobec myśli o których siwe włosy powstawały mu na głowie. Gniewał się na nią srodze, lecz czuł, że nigdy nie kochał jej tak bardzo, tak namiętnie, jak teraz, gdy zuchwałą swą dziecięcą dłonią targnęła najdroższe struny jego serca. Postanawiał nie widzieć jej aż do chwili jej odjazdu i nie wiedział sam, jak przeżyje dwa te dni pokłócony z nią, drżąc na myśl, że znajduje się ona jeszcze pod jednym dachem z tym.... Nie mógł dokończyć, nie mógł go nazwać żadnym imieniem mowy ludzkiej, — wszystkie bowiem wydawały mu się za blade wobec

jego krwawo czerwonej bluzy. Nazajutrz czynności swe spełniał bezprzytomnie niemal, tylko ze zwyczaju, machinalnie; lecz, jakaż przejęła go radość, gdy w przedwieczornej godzinie ujrzał wnuczkę wchodzącą do jego oszklonej izdebki! Upokorzyła się, pierwsza przybyła, aby zażegnać powstałą pomiędzy nimi burzę! Tęskniła za nim, jak on za nią! Kochała go trochę, nic więc straconém nie było; chwilowy jój szal minął, jego szczęście zmartwychpowstało. Drogie, drogie dziecko!

Nie powiedział tego jednak. Powściągnął dziś radość i rozrzewnienie tak, jak wczoraj gniew, i przyjął wnuczkę z łagodnym, lecz pełnym godności, spokojem.

Ubrana skromnie i bez rażących różnic ze zwyczajem powszechnym, zdawało się téż, że powróciła dnia tego do dawnej powagi, niemal sztywności ruchów i postawy. Błądą była, a śród znieruchomiałych jój rysów oczy tylko błyszczały gorączkowym blaskiem. Usiadła na stołku, tuż obok biurka, ruchem z dzieciństwa jeszcze zachowanym, wsunęła ręce w rękawy okrycia i, milcząc, patrzyła w przestrzeń.

— Cóż? Przyszłaś? — drżącym trochę głosem zaczął Otocki i nie wiedział sam, co dalej ma mówić: czy karcieć ją znowu surowém słowem, czy porwać w objęcia i pieszczotami okryć.

— Cóż tam u was słyhać? — zapytał nakoniec — pani Ryżyńska była wczoraj bardzo zmartwioną; jakże się ma dzisiaj?

— Dziś jest ona bardziej jeszcze zmartwiona, niż wczoraj — odpowiedziała przytłumionym, monotonnym, chłodnym głosem.

— Czém-że to? — zapytał Otocki.

— Syn jój odjeżdża.

Jak sprężyną ruszony, Otocki porwał się z krzesła i wnet znowu opadł na nie.

— Odjeżdża? Zupełnie już? Kiedyż?

— Zupełnie, dziś.

Była to dla niego tak wielka, tak wielka radość, że już utaić jój nie mógł. Z jego odjazdem znikala konieczność wysyłania jój na wieś. Mogła pozostać i wszystko znowu będzie, jak dawniej, dobrze i szczęśliwie. Kto wie? Jeżeli powiedzie się jój w zawodzie nauczycielskim, może wkrótce zrzuci on z siebie liberyą hotelu Wszech-Krajów i zamieszka ją razem....

Młoda dziewczyna spostrzegła radość jego i zarumieniła się naprzód gwałtownie, a potem zeszywniała bardziej jeszcze. Daremnie różnemi sposoby starał się wyzwać ją na szczerą, poufałą rozmowę i na téj drodze przygotować sobie możliwość zupełnego z nią pojednania. Milczała, sztywna wciąż i zimna, wymawiając krótkie zalewie wyrazy, a szklistem okiem patrząc nie na niego, lecz w przestrzeń. I wtedy dopiero, gdy w sieni rozległ się głos pana Leonida Igorowicza, wołający szwajcara, Otocki wstał i zmierzał ku wyjściu; Lusja powstała szybko, pochwyciła go za rękę, którą do ust swych podniosła, i gorąco, namiętnie prawie, całować zaczęła. Uszczęśliwiony nad wyraz, schylił się ku niej i zobaczył płynące po twarzy jój łzy. Ogarnęły go wtedy zgryzoty sumienia i, przyciskając ją do swéj piersi, zmieszaniem słowy pocieszał, pieścił, niemal przeproszał.

Ale pan Leonid Igorowicz wołał coraz głośniej.

— Czy na długo pójdiesz z tą, dziaduniu? — szepnęła.

Powiedział jój, że nie wie, jak długo zabawi; ale, że jeżeli nie wróci prędko, żeby tu nie siedziała sama jedna, lecz tylko udała się do domu, gdzie on dziś jeszcze przyjdzie, aby choć przez chwilę z nią porozmawiać.

Rzeźki i wesoły tak, jak dawno już nie był, wbiegł na marmurowe schody. Do izdebki swéj wrócił nie prędko, przeszło w godzinę; bo polecono mu dojrzyć ustawiania nowych mebli na jednym z górnych pięter hotelu, a potem spotkał go na kurtytarzu pan Leonid Igorowicz i długo mówił mu o tém, jakie to wielkie szczęście dla człowieka, jeżeli otrzyma edukacją, i jak szczęście to uczuł on wczoraj, będąc przez kuzyna swego wprowadzonym na wielki bal publiczny, gdzie tańczył do rana.

— Zrobiłem sobie — dokończył — nowiuieńki frak; no, i rękawiczki białe i inne drobiazgi coś tam kosztowały; ale człowiek wiele może dać za to, żeby tylu porządnych ludzi zobaczyć.... Był na balu hrabia Henryczek, co z moim kuzynem w takiej przyjaźni żyje.... i z takimi ładnymi pannami tańczyć!... ta szczególniej generałówna taka tęga dziewczyna....

Uśmiechając się z tego, co usłyszał, a uśmiech swój pod długim wąsem kryjąc, aby go rządzca hotelu, i zarazem własnych jego losów, nie dostrzegł, Otocki usiadł przed biurkiem i zaledwie spojrzawszy na księgi rachunkowe, wydał okrzyk zdziwienia. Na księgach rachunkowych leżał mały liścik, do niego zaadresowany. Poznał w oka mgnieniu, że adresowała go Lusja. Zdziwił się, ale się nie przeląkł. Przyszło mu na myśl, że dziewczyna nie śmiała ustnie wynurzyć przed nim swęj skruchy i prosić go o przebaczenie, że zatęm uczyniła to listownie. Na myśl tę uśmiechnął się rozkosznie.

— Biedne, kochane dziecko! — szepnął i list otworzył.

List był długim, ale Otocki przeczytał kilkanaście tylko następujących wierszy:

„Zdziwisz się, dziaduniu, że piszę do ciebie. Jestem bardzo odważną, a jednak nie mogłam za nic powiedzieć ci tego, co postanowiłam uczynić i co uczynię. Jakkolwiek nie zgadzamy się w przekonaniach i wyobrażeniach naszych, a w ostatnich czasach na żaden sposób nie mogliśmy się zrozumieć; to jednak trudno mi bez żalu pomyśleć o tęg, że będziesz bardzo cierpiał. Znieś mężnie cierpienie to, drogi dziadku! Wszak jesteś jednostką, która dla ważnych spraw i wielkich idei poświęcać się powinna. Tým-to sprawom i ideom ja składam w ofierze ciebie i siebie. Pracować będę ciężko na byle jaki kawałek chleba, i zniosę wszystko; ale muszę do prawdy dążyć, z przesądami walczyć, wraz z braćmi i siostrami memi w idei, na szczęście świata pracować. Jeżeli zapytasz mię, dziaduniu, dla czego czynić tego wszystkiego nie postanowiłam tu, u boku twego, pod rodzinném niebem i w społeczeństwie rodzinném; to powiem ci, że niebo to wisi nad ziemią jak ołowiane wieko trumny, do której zstępować ja nie chcę, a społeczeństwo to wydaje mi się orszakiem istot sennych i spłakanych, wśród których nudno mi, smutno.... Gdybym tutaj widziała możliwość wstąpienia na wyższy szczebel wiedzy, a potem dobroczynnego dla prawdy i ludzkości działania, być może, iż wolałabym pozostać przy tobie i boleścią twoją serca swego nie rozdierać. Lecz pocóż bawić się w przypuszczenia? Tak nie jest i być nie może; jadę więc w świat szeroki. Tam jestem potrzebna, jak ptak, z braćmi swymi pod niebo lecący.... Dziś, za godzinę, odjeżdżam z Julkiem do stolicy. Czy wrócę tu kiedy....”

Daléj Otocki już nie czytał, litery zmaciły mu się przed oczami, list wypadł z ręki. Jak oszalały, jakby mu krew bijąca do skroni czaszkę rozsadzić miała, ścisnął głowę i krzyknął:

— Boże mój! Ojcowie mój! Synu mój!

Ale, po krótkiej chwili, zerwał się z siedzenia i trzęsącą się ręką sięgnął po zegarek.

— Biegnę, lecę — szeptał — porwę, odbiorę, wyratuję...

Czy pora jeszcze była biedz i ratować, nie mógł się o tęg dowiedzieć, bo wskazówki zegarka wydawały mu się jakimiś krwawymi palcami, przyciskającymi jakąś wysoką, pełną jęków i westchnień, mogiłę.

— Ołowiane wieko trumny!... orszak sennych i spłakanych!... O nieszczęśliwa! wieko to podnosić.... sennych tych budzić.... spłakanych cieszyć.... małaż to była dla ciebie robota?...

W tęg o ucho jego uderzył długi, przenikliwy świst. Wiedział on dobrze, przez lat wiele dowiadywał się codziennie, co świst ten znaczy. Była to ta potężna, choć nieżywa, istota z żelaznem ciałem, płomienną piersią i długim białym warkoczem z dymu, która, lecąc pędem niedościęłym w przestrzeń niedojrzalną, świstem tym wołała na tych, co się wprzęgli do jég rydwanu. Za mną! za mną w świat!

Lokomotywa, ciągnąca za sobą długi szereg ciemnych wozów, coraz daléj rzucała w przestrzeń i zmrok wieczorny przeraźliwe swe krzyki, a w izdebce szwajcara hotelu Wszech-Krajów, zgębniony, zgarbiony, wijący się z bólu człowiek, jęczał:

— Zgubiona!

I daremnie przede drzwiami hotelu turkotały powozy przywożące gości, daremnie pan Leonid Igorowicz i inni jeszcze wołali nań wielkimi głosami — nie słyszał nic.

*

Od dnia tego zniknął z sieni i z przede drzwi hotelu Wszech-Krajów i nikt go już tam nie widział nigdy. Co się z nim stało? Niewiadomo. Czy wraz z innemi, błędnemi liściami, które po burzy tułają się wśród przestrzeni, szuka jeszcze gałązki przytułku i spo-

kojnego końca? Czy też, porwany falą strumienia, który zabrał mu wszystkie ukochania jego, popłynął za nimi w drogę bezpowrotną?

To tylko pewna, że, ile razy ktokolwiek zapyta pana Leonida Igorowicza o pięknego człowieka tego z silną i dumną postawą, zoranem czołem i długim białym wąsem, tyle razy pan Leonid Igorowicz wstrząsa ufryzowanymi włosy, z których ulatuje woń różanego listka, ręką, zdobną w pierścionek z turkusem, czyni gest pogardliwy i odpowiada:

— To był waryat!

Powiadają niektórzy — i ja zdanie to podzielam — że pan Leonid Igorowicz nurza się także w srogiem omamieniu, biorąc za edukacją, czyli oświatę, to, co jest krzywem i brudnym jej widmem.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/orzeszkowa-widma>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Widma*, druk J. Blumowicz, Wilno 1881.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0659-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).